

DUSZA

~
Jej basń

DOMINIKA BUZE

joanna frackiewicz

ELŻBIETA GRAB

joanna karpieńska

KIRGA LOH

MEHAE MACIEJAK

SPIS TREŚCI

GREMPLINA DOMINIKA BUZE	5
O WĘŻU, KTÓRY ZMIENIAŁ SKÓRY JOANNA FRĄCKIEWICZ	9
PIEŚŃ WIELORYBA ELŻBIETA GRABOWSKA	10
DZIERZBA JOANNA KARPIŃSKA	15
NIE WIADOMO KINGA ŁON	19
BABAJKA KINGA ŁON	21
GAME OVER MICHAŁ MACIEJAK	24
BAŚŃ O BIAŁEJ WILCZYCY SONIA RUSZKOWSKA	28
BAŚŃ O SMAKU SONIA RUSZKOWSKA	32
TRZY SKÓRY WIOLETTA SZUBA	36
ŁANIA I WILCZYCA MARTA SKORCZYŃSKA	41
PESTKA MARTA SKORCZYŃSKA	46
ZAKŁĘTY W NIEDŹWIEDZIA MARTA SKORCZYŃSKA	51
Pełne i puste MARTA SKORCZYŃSKA	55
DROGA ALDONA ŻEJMO-KUDELSKA	60
JASPIS DOROTA ŻUREK	63

Projekt pisania baśni początkowo powstał, ponieważ po prostu chcieliśmy coś robić razem. Chcieliśmy przedłużyć momenty bycia w dramowej wspólnocie i cieszyć się momentami synergii w działaniu.

Ale patrząc na to głębiej, ten projekt powstał z tęsknoty za tym, żeby wykorzystać nasz twórczy potencjał. Z pragnienia, żebyśmy odważyli się stworzyć nasze własne opowieści i nasz własny język, jakim chcemy mówić o świecie, o nas samych.

Mieliśmy poczucie, że chcemy dać światu coś barwnego i niejednoznacznego, osobistego i uniwersalnego zarazem: baśnie. Takie, z którymi różnorodne grupy mogą pracować dramowo: tworząc żywe pomniki, szukając rozwiązań, dopisując własne zakończenia opowieści. Spotykaliśmy się wiele razy w mniejszych i większych grupach na dramowych warsztatach z kreatywnego pisanie i pracy z baśniami. Pracowaliśmy też samodzielnie, próbując znaleźć język, który wyraziłby zakłete w nas samych opowieści. Był to złożony i długi proces. Odkryliśmy, że wydobyć z siebie baśni wymaga zajrzenia w głąb siebie, czego łatwo się było przestraszyć.

Tym bardziej cieszymy się, że baśni powstały! Wyłoniły się twórczego mroku i oto są.

Jako osoby pracujące z opowieściami poprzez dramę, szukamy ich głębszych znaczeń, wykorzystując to, co jest nam najbliższe: nasze ciała. Was również zachęcamy do tego, żeby wsłuchiwać się w to, co mówią Wasze ciała, gdy będziecie czytać te opowieści. Może zainspiruje Was to do warsztatowej pracy z tymi z nich, które do Was przemówią najżywiej.

Sonia

w imieniu grupy trenerek i trenerów ze Szkoły Trenerów Dramy Drama Way zaangażowanych w projekt.

Sonia Ruszkowska: „Zorganizujemy warsztat, w trakcie którego sami napiszemy baśnie”

Aldona Żejmo-Kudelska: „O, fajny pomysł. Dobra!

Od tej krótkiej rozmowy rozpoczął się „baśniowy proces”, którego ta książeczka jest zwieńczeniem. Indywidualny proces każdego z nas, wewnętrzna podróż z własną baśnią.

Bo co to znaczy „napisać baśń”?

To uruchomić wewnętrzny proces twórczy, zanurzyć się w swoje myśli i uczucia. Przywołać pełne mocy wewnętrzne obrazy, kształtujące nasze rozumienie świata i samych siebie. Zbliżyć się do tych obrazów, by móc je dokładnie zobaczyć. Poczuć ich nastrój, rozpoznać ich klimat. Zanurzyć się w kolorach, splotach akcji, dynamice i przebiegu zdarzeń. Dotknąć wieloznaczności baśniowych obrazów. Pobawić się ich znaczeniami. Wejść z nimi w dialog – odnaleźć bohatera w każdym z nich, który gdzieś zmierza, do czegoś dąży, o coś walczy. Jaka będzie to wędrówka, jaka będzie to walka? Kto pojawi się na drodze – wróg czy sprzymierzeniec? Kto i kiedy? I właściwie – kto jest kim?

Dialog z wewnętrznymi obrazami przynosił więcej pytań niż odpowiedzi, prowadził w kolejne rejony znaczeniowe, tworzył kolejne sploty inspiracji, z których szybko powstawały następne historie, treści dzieliły się, rozdwajały. Pojawiały się kolejne odstony sensów...

Taka właśnie była praca z baśniami – baśniami, które wydobyliśmy z naszego wewnętrznego świata, zaglądając sobie samym głęboko w oczy. Wchodząc w kontakt z naszą dziecięcą, twórczą i wrażliwą częścią samych siebie, tak często spychaną na margines w dzisiejszym, żądającym „skuteczności” świecie. Pisząc baśnie, wydobywając je z naszej duszy, tak naprawdę wchodziliśmy w kontakt z tym co w nas samych niepewne i nienazwane. W tej wewnętrznej podróży docieraliśmy do samej esencji człowieczeństwa; wzlotów i upadków, bólu, cierpienia i miłości, piękna życia i jego okrucieństwa, tragicznych wyborów, niesprawiedliwego losu.... Wchodziliśmy w rodzaj dialogu z tym, co w nas – jako jednostkach, ale i jako ludziach w ogóle – ukryte. Pisząc baśnie z chaosu myśli i wrażeń wydobywaliśmy „właściwą dla nas” treść.

Najwspanialsze jest jednak to, że ta praca – wydarzyła się naprawdę. Nasze indywidualne narracje wewnętrzne zyskały wsparcie naszej realnej aktywności – spisania tekstów, ich wyboru i tak oto – powstały nasze baśnie....

Aldona Żejmo-Kudelska

uczestniczka projektu oraz prezeska Drama Way Fundacja Edukacji i Kultury

GREMPLINA



Gremplina

Dominika Buze

Był taki czas, kiedy królowała, była gwiazdą, obiektem pożądania. Błyszczała podczas prywatek, przyciągała wzrok na ulicach. Czasami próbowano nawet jej dotknąć, by choć przez chwilę poczuć, jak to jest być Nią. Prostowała się wtedy dumnie i lekko uśmiechała, zadowolona i świadoma swojej wartości. W tamtych czasach był przy niej Jacques, który opiekuńczo obejmował jej ramiona i ogrzewał swoim ciepłem, a ich dotykające się ciała wydawały przyjemny dla ucha szelest. Ach, cóż z nich była za para! Ach, jakie piękne było wtedy życie. Ach...

— Czego znowu wdychasz? Weź się w końcu w garść, bo nie można tego słuchać! — rozległ się skrzekliwy głos Gryzeldy.

Gremplina skuliła ramiona i wcisnęła się w najdalszy kąt. Nerwowym gestem wygładziła nieistniejące zagniecenie na piersi i zakasłała.

— Naftalina — wyjaśniła przepraszająco i stłumiła kolejne kaszlnięcie. Przed oczami stanęła jej Pani Kuna, przez dekady niekwestionowana władczyni szafy, głośna, onieśmielająca swoim rozłożystym czarnym futrem i rozciągająca dookoła silną woń środka przeciw molom. Odeszła już dawno — młodszych ubrań nie było wtedy nawet w planach projektantów — zapewniając sobie wieczną pamięć mdlącym, słodkawym smrodkiem. Pani Kuna, pomyślała Gremplina, nigdy nie pozwoliłaby, aby ktoś odzywał się do niej w tak lekceważący sposób.

— Nie pojmuję, dlaczego ona ciągle tu jest — zasyzczała Gryzelda scenicznym szeptem. Gryzelda, dzięki swoim naturalnym lnianym splotom była mistrzynią podgryzania kołnierzykiem, co utrzymywało Nosicielkę w stanie wiecznej irytacji tak przydatnej na pewnych stanowiskach.

— Zajmuje tylko miejsce, a wiadomo przecież, że teraz jest czas nas, młodych — gładko przytaknęła jej Voalia, jedwabna beżowa apaszka pasująca do wszystkiego.

— Ktoś naprawdę powinien zrobić porządek z tymi niehrobami — zgodziła się Coraline, gardłowo wymawiając „r”, gdyż pragnęła uchodzić za Francuzkę. Jej eleganckie perłowe koraliki lekko drżały przy każdym wymawianym słowie.

Gremplina bardzo chciała znowu westchnąć, żeby pozbyć się uczucia ciężaru, przygniatającego jej piersi, lecz nie odważyła się, by nie sprowokować kolejnej fali przykrych komentarzy.

— Powinno się zawsze mieć zajęcie — odezwał się nie wiadomo do kogo Wełniany Gary, nie podnosząc głowy znad guzików, które nieustająco polerował. Gary mieszkał w szafie jeszcze dłużej od Grempliny. Pojawił się z okazji ślubu Nosiciela, o czym nie pozwalał innym zapomnieć, i przez kolejne lata nieustająco się weselił. Z upływem czasu imprezy, na których bywał, przeniosły się z domów weselnych do pogrzebowych, aż w końcu zupełnie ustały. Czasami, kiedy Gremplina była markotna, Jacques, jej bratnia dusza, jej druga połówka udawał, że jest Garym tańczącym na weselu, a wtedy Gremplina szturchała go w bok i razem zaśmiewali się do łez, nie do końca wiedząc z czego.

Pomimo rad Wełnianego Gary’ego, Gremplina nie wiedziała, czym mogłaby się zająć poza codziennym napinaniem szwów i jogą włókien, dzięki którym utrzymywała swoją nieskazitelną trapezową formę. Kiedyś, gdy jeszcze miała nadzieję, próbowała. Cierpliwie przesuwiała się na drążku w stronę drzwi szafy, chcąc, by ją dostrzeżono, dano jej szansę. Udało się wtedy i Nosicielka sięgnęła po nią, a Gremplina zamarta w oczekiwaniu. Nosicielka wygładziła ją (choć wcale nie było takiej potrzeby, bo Gremplina dbała o siebie), przytuliła do twarzy, wciągnęła jej zapach i otarła nią łzę, choć wiadomo, że nie do tego służą sukienki, szczególnie te z tkanin syntetycznych. Po chwili Gremplina znowu wisiła w szafie hen, daleko od drzwi, do których z takim wysiłkiem dążyła przez ostatnie lata.

— Baliśmy się, że cię wyrzuci — powiedziała wtedy podomka Flanula, udawaną troską maskując zawód, że nie będzie o czym szeptać w ciemnych zakamarkach szafy. Cóż, Gremplina została oszczędzona, za to Flanula wkrótce po tym zdarzeniu zniknęła, a jej miejsce zajęły Gryzelda, Voalia i Coraline, świeże i pachnące nowością, z błyszczącymi zagranicznymi metkami.

Gremplina wiele razy zastanawiała się, dokąd trafili Jacques, Pani Kuna i Flanula. Podobno, mówiono, po—dob—no, podkreślano, wysłużone ubrania trafiały do Czułości. Podobno, dodawano również, Czułość nie oznaczała wcale końca, lecz początek nowego życia, choć nikt nie wiedział tego na pewno, oprócz Flanuli i reszty oczywiście, ale nie było jak ich zapytać.

Mijały miesiące, jeden podobny do drugiego. Ich monotonię przerywało na chwilę przybycie tej czy innej sztuki odzieży, co bywało powodem spieć pomiędzy starymi a nowymi lokatorami. Gremplina nie brała w nich udziału. Przymykała oczy i chowała się w sobie, wracając myślami do odległych czasów. Kiedyś usłyszała, że jeśli się czegoś bardzo pragnie, to się to otrzymuje. Pragnęła więc z całego serca dotyku letniego wiatru na swoim gremplinowym ciele, zapachu bzu i jaśminu, gwaru przyjaznych głosów, poezji i też wzruszenia. Chciała poczuć, że znowu żyje, jednak mimo gorącego pragnienia nic się nie zmieniło. Innym razem ktoś zapewnił, że istnieją szafy z magicznymi portalami, przez które można przedostać się do zupełnie innej rzeczywistości. Nocą, gdy wszyscy pochrapywali na swoich półkach i wieszakach, po cichu obchodziła szafę, macając ją w poszukiwaniu szczelin, kryjących tajemne przejście do życia, za którym tak tęskniła. Nie znalazła go, ale przecież od początku wiedziała, że tak właśnie będzie.

Pewnego dnia drzwi szafy otworzyły się zamaszyście. Silna i zdecydowana ręka, przesuwając lokatorów, zmierzała w stronę Grempliny. Stało się! Nadszedł dzień, w którym na oczach wszystkich zostanie brutalnie zerwana ze swojego wieszaka! Tak bardzo napięta się w trwożnym oczekiwaniu, że aż z cichym „prrr” popuściła szew na lewym boku. Nikt się jednak nie zorientował, gdyż ręka obojętnie ominęła Gremplinę i pochwyciła Wełnianego Gary’ego, który protestując, pokazywał swoje lśniąco guziki, nie przestając ich gorączkowo przecierać. Po chwili zniknął im z oczu, drzwi szafy jednak ciągle pozostawały szeroko otwarte. Zapadła cisza, gęsta i przytłaczająca. Gremplina zorientowała się, że wszyscy patrzą na nią, wstrzymując oddech. Poczuli, że za chwilę puści jej szew w drugim boku, a takiego upokorzenia na pewno by nie zniósła. Dość tego! Jeśli ma odejść, robi to z godnością. Wyprostowała się i spojrzała w światło. No dalej, chodź i weź mnie, rzuciła w myślach wyzwanie Nieznanemu. Drzwi szafy jednak zatrzasnęły się na powrót. Lokatorzy, szemrając z ulgą, zaczęli przesuwac się po drążku na swoje zwykłe miejsca, spychając Gremplinę w osierocony

przez Gary’ego, woniejący starą naftaliną kąt. Gryzelda sprytnie puściła w ruch swe gryzące lniane łokcie, wykorzystując okazję do zagarnięcia wolnej przestrzeni.

— Dość! Dość! — rozległ się nagle okrzyk, głośny jak trzask z bicia. Gremplina aż podskoczyła, po czym zdała sobie sprawę, że ten protest wydostał się z niej, z jej samego środka, z dna jej prawie martwej, zasuszonej duszy. Już prawie zastłoniła nieposłuszne usta, już prawie przeprosiła za to zakłócenie porządku, za ten brak pokory, za zajęcie nieswojego miejsca. Już prawie... a jednak — nie tym razem. Używając łokci niemal tak

sprawnie jak Gryzelda, pod zadziwionymi spojrzeniami lokatorów szafy, przepchnęła się do wyjścia, przydeptując jedne czy drugie rąbki, po czym zajęła miejsce na samym środku. Nie cofnęła się, gdy zza drzwi ponownie dobiegł odgłos zbliżających się kroków i nie zamknęła oczu, gdy wydobyło ją na oślepiające światło dzienne, choć serce łomotało w jej syntetycznej piersi.

— A, to ty — przywitała ją Nosicielka miękko. — Zupełnie o tobie zapomniałam. Basiu, patrz! — delikatnie gładząc Gremplinę odwróciła się do osoby, która pojawiła się za jej plecami. — To sukienka mojej mamy. Na widok Grempliny Basi aż zaświeciły się oczy. Niemal nabożnie przejęła ją z rąk Nosicielki i przyłożyła do siebie przed lustrem, zabawnie przy tym wyginając się i przekrzywiając na boki głowę.

— Mamo, jest wspaniała! Mogę ją wziąć? Zszyję o tutaj, bo trochę się popruła i będzie jak nowa! Będę o nią dbać, obiecuję. To jak, mamo? Dasz mi ją? Proszę, proszę, proszę... i wiesz co, chyba widziałam gdzieś zakiet z takiego samego materiału, muszę tylko przypomnieć sobie, gdzie to było. Ach, cóż to by była za para!

Drzwi szafy ponownie zostały zamknięte, pozostawiając jej lokatorów z trwożnymi domysłami, w których imię Grempliny przeplatało się gęsto ze słowami „koniec”, „czułość” i „ojej, ojej”. Coraline i Voalia z otwartymi ustami wymieniały między sobą zszokowane spojrzenia, a Gryzelda mrużąc oczy kalkulowała, ile zwolnionego miejsca będzie mogła zagarnąć dla siebie. Gremplina już tego nie widziała, gdyż w objęciach Basi wyruszyła w Nieznane.

O WĘŻU,

który zmieniał

Skóry



O WĘŻU, KTÓRY ZMIENIAŁ SKÓRY

Joanna Frąckiewicz

Był raz sobie, a nawet wiele razy, wąż. Wił się, jak na węża przystało. Pewnego dnia poczuł, że mu niewygodnie. Wyrysował sobą esa-floresa na trawie i wrzasnął przerażony: „Moja piękna skóra! Pęka!”. Wiedział, że jak popęka, to zejdzie. Ale choć była już ciasna i niewygodna, i zaczynała schodzić, on zawstydzony perspektywą nagości, schował się do norki. Postanowił gołym nie zostać. Pełzał w błocie, by ją nawilżyć, uelastyczyć odrobinę, pajęczyną tętnął, rzepem podklejał. Jednak to na nic się zdało. Żadne kosmetyki, żadne sposoby na łuskową powłokę nie pomogły. Wśliznął się ponownie do norki, a tam mysz chichocze: „Co żmiju, golacie, szata układać się nie chce?” Gad, choć nie głodny, myszkę zabił oburzony. Gdy leżała martwa, położył się na niej. Futerko miała szare, bez rewelacji, za to miękkie i ciepłe. Wtedy ją owinął, zębem zahaczył i futerko z niej zdarł. Przyodziął się wąż w mysie skórki. Mimo że nie były strojne, cieszył się. Jakiś czas tak pełzał, aż zaczęła mu się tłuszczyć skóra futerkiem nieokryta. Zobaczył swe odbicie w tafli jeziora — żałosne!

Kawałek dalej dostrzegł lisa. Ten był bardzo głodny, za obiadem się rozglądał. „Gdyby tak jak on wyglądać, strojny ogon puszyć, podziw wzbudzać! Ach!” — myślał żmij. Zwinął się wtedy w trawie tak, że tylko mysią skórkę było widać, którą lekko poruszał. Lis dostrzegł ofiarę — skoczył ku niej i zaskowyczał żałośnie. Jad ogarniał mu zmysły, zwierz wywrócił oczami, dyszał ciężko aż w męczarniach skonał. Wąż skórkę mysią zrzucił, lisią zdarł i włożył, i pełznął dumnie lisią kitę włócząc. Tymczasem jego własna skóra coraz bardziej cisnęła, schła i się odklejała. Choć już wyglądała brzydko, wąż z siebie skóry nie zedrze własnej, głupi przecież nie był. Żył więc w niewygodzie, z losem niepokodzony.



Aż ujrzał niedźwiedzia, co chodził zamyślony. „Zmienię znów skórę” — pomyślał i przyciął się wśród korzeni. Przechodził niedźwiedź, wąż zęby próbował zatopić w goleni. Lecz zwierz skórę miał grubą, pod gęstą sierścią ukrytą. Obejrzał się tylko, w dół spojrzał. „Cóż to lisie, zdrajco?! Polujesz na mnie?” Podniósł miś łapę, by lisa rozdeptać. Wtedy żmij uciekł, rudą kitę zostawił.

Czmychnął do jamy, bardzo zawstydzony, prawie crozebrany. Powłoka uwierała, pękała, była nienośna. Wąż postanowił jednak nagim zostać. Wił się i tarzał, ocierał, szorował. Starą skorupę zrzucił i zeszytniał zdziwiony. Miał na sobie nową — własną. W końcu był zadowolony.



Pieśń wieloryba

Elżbieta Grabowska

To jest opowieść o przyjaźni.

W pewnym mieście, na pewnym osiedlu mieszkała Dziewczyna. I coś ją od innych różniło, choć miała zwykłą fryzurę, zwykły wzrost, zwykłe ubranie. Nie wszystko w niej jednak było stałe i jednorodne. Jedno jej oko było zielone. Patrzyła nim zawsze prosto, na wskroś, aż do samego środka. Patrzyła na rzecz i widziała ją taką, jaka jest. Drugie jej oko uciekało na zewnątrz i czasem, przy odpowiednim świetle, wydawało się, że zielona tęczęwka otoczona jest ciepłą zieloną poświatą. Tym drugim okiem Dziewczyna patrzyła trochę obok rzeczy, dostrzegając też to, czego nie widać od razu. Widziała jakby ponad sprawami, a może po prostu widziała je w ich szerszym kontekście. Ich granice przez to nigdy nie były do końca wyraźne i jasno wytyczone. Rozmywały się w pograniczach, plątały w połączeniach z innymi.

Dziewczynie trudno było wytłumaczyć innym mieszkańcom osiedla swoje punkty widzenia, a że podejmowanie trudu nie leżało w jej charakterze, dość szybko poddała się i o tym co widzi, nie opowiadała za wiele.

Osiedlu, na którym mieszkała można było natomiast opowiedzieć bardzo łatwo. Wielkie płyty, zamknięte okna, mało światła, puste przestrzenie i mgła. Szara i gęsta tak, że nikt nie pamiętał, jak wygląda niebo ponad nią. Istniały jego stare fotografie, ale nikt nie mógł uwierzyć w to, co przedstawiały. Podobno w tej mgle zamieszkał strach i rozgościł się tak, że wydawało się, że nic nie może go już rozwiać. Mieszkańcy osiedla na wszelki wypadek nie spędzali więc czasu na zewnątrz. Pracowali zdalnie, wychodzili tylko, gdy musieli. Przebiegali wtedy pod murami z wielkich płyt, chroniąc twarze i unikając spojrzeń.

Dziewczyna miała więc dużo miejsca, w którym mogła przebywać w samotności. Gdyby to ona miała opowiedzieć o swoim osiedlu, powiedziałaaby o drugiej jego stronie, o której mieszkańcy dawno

zapomnieli. Osiedle znajdowało się nad morzem i to tam Dziewczyna lubiła spędzać najwięcej czasu. Jedna ze ścieżek wychodzących z osiedla prowadziła wprost na plażę, do miejsca, gdzie stało molo. Tam Dziewczyna przychodziła spotkać się ze swoim przyjacielem Wielorybem. Wszystkie zwierzęta odeszły już wcześniej, ptaki odleciały, ryby odpłynęły. On pozostał. Kiedyś przypadkiem połknął pływającego w morzu tomik poezji. Od tej pory czuł pewną czułość do ludzi i nie potrafił się jej wyrzec.

Dwali więc z Dziewczyną o siebie nawzajem. Ona stawała na samym końcu mola i czytała mu książki. On opowiadał jej o tym, co widział, gdy wypływał w głąb morza, tam, gdzie mgła osiedla się rozrzedzała. Dziewczyna bardzo chciała zobaczyć to, o czym mówił Wieloryb. Kiedyś na porzuconym straganie z pamiątkami znalazła model statku zamknięty w butelce. Wieloryb wytłumaczył jej, że ludzie używali kiedyś takich konstrukcji, by wypływać tam, gdzie wypływają wieloryby i dalej. W Dziewczynę wstąpiła wtedy nowa siła, którą, gdyby mieszkańcy osiedla pamiętali to słowo, nazwaliby nadzieją.

Dziewczyna na opuszczonym placu zabaw rozpoczęła budowę, by odtworzyć tę pływającą konstrukcję. Znalazła kilka historycznych książek o statkach. Wieloryb pomagał jej czasem i wydobywał z morza duże kawałki drewna, które nadawały się do budowy. Prace nad konstrukcją dobiegały już końca, gdy nagle na osiedlu wszystko się zmieniło. Choć ta nagłość była tylko wrażeniem. Takim, które się ma, gdy odwraca się głowę w stronę, w którą długo się nie patrzyło i to, co kiedyś było daleko, okazuje się być tuż za naszymi plecami.

Dziewczyna pracowała na pokładzie statku, gdy ze skupienia wyrwał ją hałas dobiegający z osiedla. Spojrzała na bloki. Mgła między nimi zaczęła gęstnieć i ciemnieć. Po chwili zamieniła się w wielką czarną Chmurę, która wciągała w swój środek wszystko, co Mieszkańcy przez lata porzucili między budynkami, wszystko co zaniedbane, zapomniane, uznane za nie swoje. Zewsząd wytaczały się śmieci i wpadały prosto w kotłownię. Wkrótce zasysane przez Chmurę powietrze wywarzyło drzwi, z klatek schodowych wypadały kłęby brudu, starych papierków, niedopałków. Potem z ram wyrwane zostały

okna i z mieszkań w sam środek Chmury wpadali ludzie.

Dziewczyna stała na pokładzie statku i przyglądała się, jak Chmura połyka osiedle i jego Mieszkańców, jak nabiera rozpędu. Przerażona (i trochę też zachwycona) zaczęła biec. Udało jej się przedostać na molo, do którego zdążył podpłynąć już Wieloryb. Chmura zbliżała się do plaży, pełna krzyku Mieszkańców i zgiełku trzaskających o siebie przedmiotów.

- Wielorybie, co się dzieje? Co robić?
- Wracaj na statek. Choć może wcale się tak nie wydaje, jesteście stworzeni, by przetrwać burzę.

Dziewczyna ruszyła z powrotem, naprzeciw Chmurze. Dobiegła do swojej konstrukcji i wskoczyła na pokład w chwili, gdy Chmura już niemal dosięgała statku. Popatrzyła w stronę mola, szukając wzrokiem Wieloryba, niepewna, co teraz powinna zrobić. Był tam. Zobaczyła jego potężny ogon, którym uderzał o wodę, wywołując fale.

Pierwsza fala z wielką siłą zalała plażę i uniosła statek. Druga fala uniosła go wyżej i popchnęła w sam środek Chmury. Dziewczyna opanowała ster. Rozrzuciła liny, których chwytali się Mieszkańcy. Coraz więcej z nich wskakiwało na pokład. Ci, którzy byli już na pokładzie, pomagali wciągnąć kolejnych. Chmurę przeciął przenikliwy śpiew Wieloryba i kolejny grzmot uderzenia ogonem o wodę. Trzecia fala wypchnęła statek z Chmury, a gdy wracała do morza, zabrała ze sobą cały chmurny zamęt. Woda umyła miasto i opadła. Przez chwilę było słychać tylko ostatni dźwięk pieśni Wieloryba. Potem wszystko ucichło.

Przemoczeni i nieco oszołomieni Mieszkańcy, stanęli niepewnie na lądzie. Pierwszy raz od dawna zobaczyli słońce i poczuli ziemię pod stopami. Pierwszy raz od dawna popatrzyli sobie w oczy.

- Wszyscy ostatnio chyba trochę oszaleliśmy. - powiedział jeden z nich
- Gdzie jest Wieloryb? - zapytała Dziewczyna.

Ktoś wskazał palcem w stronę plaży. Tam, przy zniszczonym molo, leżało wielkie ciało Wieloryba.





DZIERZBA

Joanna Karpińska

Marcinowi i Zosi Pietruszkom

Dawno, dawno temu żył sobie niepozorny ptak o imieniu Dzierzba. Dzierzba raz do roku odwiedzał krainę Nintu, zostawał na kilka miesięcy, a potem frunął za Świętą Ziemię, by rozprostować skrzydła podczas dalekich podróży. Inne ptaki zawsze witały Dzierzbę z radością, ale miawały niejasne przeczucie, że towarzyski kolega, mistrzowsko naśladujący trele wielu gatunków, ma w sobie coś, co może być źródłem niepokoju. Jednak każda wiosna, niepomna na zeszłoroczną jesień, jednako angażowała ptasi ród w wielkie porządki, budowanie bądź naprawianie gniazd i wygrzewanie piórek w Słońcu, więc nikt nie zwracał sobie łebka niepewnymi spojrzeniami nowoprzybyłego Dzierzby.

Tego roku ptaki były jednak bardzo czujne. Wszystkie pamiętały minione lato, w środku którego na trzy dni zgąsło Słońce i trwoga spadła na całą Nintu. Jesień i zima były czasem wspomniania i przeżywania tej Wielkiej Ciemności wciąż na nowo. Gdy nadeszła kolejna wiosna, a wędrowiec Dzierzba ponownie zawitał do Nintu, nie był już przyjmowany z entuzjazmem. Ptaki bardzo uważnie mu się przyglądały i śledziły każdy jego ruch.

Głód zza Świętej Ziemi nadal starał się, jak zwykle, dbać o gniazdo i troszczyć się o potomstwo, które lada chwila miało wykluć się z jajek wysiadywanych przez Dzierzbową, ale było mu bardzo trudno. Jego dumą od zawsze był niesamowity głos, za pomocą którego potrafił udawać każdego ptaka. Już kilka razy wywołał panikę u Pani Kukułki, mieszkającej dwa drzewa dalej, naśladując Pana Kukułkę. Nie od dziś wiadomo było, że Pani Kukułka to wielki leniuch i nie chce jej się wysiadywać jajek. Podrzucała je do gniazd innych ptaków, a sama frunęła na plotki. Jedyną osobą, przed którą starała się ukryć swoje niedbalstwo, był mąż. Dzierzba był tego świadomy i widząc Panią Kukułkę, skradającą się do gniazd sąsiadek, kukał dokładnie tak, jak Pan Kukułka, a potem ze śmiechu niemal spadał z gałęzi, bo zdeorientowana Pani Kukułka w pośpiechu starała się wturlać jajka z powrotem do domu.

Często jednak Dzierzba wspierał swoim talentem kogo mógł i zazwyczaj był lubiany w sąsiedztwie. No, może nie wliczając w to Pani Kukułki. Miał jednak duży kłopot, którego bardzo się wstydził. Pomimo tego, że był posiadaczem pięknego głosu i wytrzymałych skrzydeł, natura nie obdarzyła go mocnymi nogami. Nie radził sobie zatem w czasie polowania i jego ofiary często po prostu wymykały mu się ze szponów. Dzierzba jako sprytny ptak szybko znalazł rozwiązanie. Zaczął wykorzystywać cierniowe krzewy i swoje ofiary nabijał na kolce tuż po upolowaniu. Często przed śmiercią bardzo cierpiały. Ale Dzierzba nie mógł nic na to poradzić. Gdyby nie ten pomysł on i jego rodzina po prostu zginęliby z głodu. Jednak aby ukryć swoje postępowanie Dzierzba polował wyłącznie wieczorami, a zdobycze ukrywał w cierniach rosnących daleko od innych ptasich oczu.

Pamiętnego lata, właśnie wtedy, gdy zgąsło Słońce, Dzierzba, tak jak wszyscy, bardzo się zmartwił. Jednak już po kilku godzinach odkrył dla siebie wielką szansę. Nikt nie był w stanie śledzić go podczas polowań, mógł więc zrobić większe zapasy nie ściągając na siebie podejrzeń. Tak mocno zaangażował się w realizację powziętego postanowienia, że nie spostrzegł, że Słońce w końcu zaczęło wschodzić. Wówczas inne ptaki, błąkające się w Wielkiej Ciemności z dala od swoich gniazd, zobaczyły przerażającą scenę. Na kolcach tarniny, na skraju polanki, nadziane było mnóstwo owadów, niewielkich pędraków a nawet małych żabek, niektórych jeszcze rozpaczliwie drgających.

Od tego momentu życie Dzierzby już nigdy nie było takie samo. Wszyscy sąsiedzi szybko poprzynosili swoje gniazda na drugą stronę lasu, a załamana Dzierzbowa nie była w stanie ogrzać jajek, więc tego roku nie pojawiły się pisklęta.

Dzierzbowie prędzej niż zazwyczaj opuścili Nintu. Jednak tej wiosny znów przywędrowali



w znajome okolice, ale towarzyszył im wielki lęk. Nie łudzili się, że szybko znajdą miejsce na mieszkanie, a o tym samym co zawsze kasztanowcu mogli już tylko pomarzyć. Odlecieli więc na skraj polanki pomiędzy suche gałęzie tarniny. Może i zakątek nie był zbyt urokliwy, ale przynajmniej otaczały ich ciernie, pełniąc rolę ochrony i umożliwiając gromadzenie pokarmu. Pogodzeni z losem, słuchając z daleka odgłosów swych dawnych sąsiadów, zajęli się zwykłymi, wiosennymi sprawami.

„Cicibej, cicibej!” — rozległo się pewnego ranka wśród kolców. „Cicibej, cicibej!” Dzierzba zbudził się i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że po raz pierwszy słyszy ten rodzaj ptasiego języka. W jego dawno przygastym serduszkuszku zatliła się radość melomana. Wychylił się ze swojego gniazdka i spostrzegł ptaka z żółtą piersią, ciekawie przyglądającego się zapasom Dierzby.

— Dzień dobry, sąsiedzie! — zakrzyknął wesóło, gdy tylko spostrzegł Dierzbę — Nazywam się Sikora i bardzo się cieszę, że w tym zatęchłym kącie nie będziemy sami! — Gdy jeszcze mówił dołączyła do niego zwinna Pani Sikorka i otrzepawszy piórka przywitała się uroczym „Cicibej!”.

— O jakże miło, jakże miło! — potwierdziła.

Zaintrygowana Dierzbową również wyszła z domu i dołączyła do nowopoznanych Sikorów.

— Nawet sobie państwo nie wyobrażają, jak bardzo cieszymy się z państwa przybycia! — powiedziała zaskoczona — Nazywamy się Dierzbowie — rzekła, a jej mąż zawołał „Cicibej!” perfekcyjnie naśladując zaśpiew gości.

Żółte brzuszki Sikorów mało nie zbladły, gdy usłyszeli z jakim kunsztem mają do czynienia! Tego dnia, gdy tylko towarzyszy i życzliwi Sikorowie wstępnie zaaranżowali nowe mieszkanie, spędzili u Dierzbów cały wieczór. Rozmowa toczyła się w najlepsze. Na Sikorach wcale nie zrobiła wrażenia opowieść o tym, w jaki sposób Dierzba zdobywa jedzenie. Sam Sikora wyznał, że w ciągu najdłuższych nocy zimowych, gdy kraina Nintu zasypiała, zdarzało się, że przymierał głodem

i wówczas sięgał nawet po dawno nadpsute szczątki nietoperzy, które padły w głębokich jaskiniach. Lęk Dierzbów przed innymi ptakami zmalął dzięki Sikorom.

Niestety, nowi towarzysze zaczęli być postrzegani przez pozostałych skrzydlatych mieszkańców lasu jako wspólnicy zbrodniarzy i pomimo całej serdeczności, jaką starali się obdarzać każdego, Sikorowie szybko stali się wyrzutkami, zupełnie jak Dierzbowie.

Pewnego dnia po drugiej stronie lasu rozległo się rozpaczliwe kukanie. Sikorowa i Dierzbowa już od tygodnia wysiadywały jajka i nie mogły się ruszyć, ale od razu wiedziały co się wydarzyło. Tak żałośnie mogła wołać tylko matka, która straciła swoje dziecko. Zgodnie zaczęły nawoływać swoich mężów. Przyszli tatusiowie, wyczuleni na każde najmniejsze kwilenie żon, przybyli natychmiast. Dierzba, przysłuchawszy się kukaniu, przyznał żonie i sąsiadce rację — coś niedobrego wydarzyło się w gnieździe Pani Kukułki. Zabrawszy ze sobą Sikorę pognął na ratunek.

Na miejscu okazało się, że wokół odchodzącej od zmysłów Kukułki zgromadził się tłum zasępionych gapiów. Nikt nie reagował, wszyscy stali nieruchomo.

— Dobrze jej tak — Dierzba usłyszał szept w tłumie — podrzucała nam jajka, to teraz się doigrała!

— Ale co się wydarzyło? — zapytał zniecierpliwiony Sikora — dlaczego nikt jej nie pomoże?

— Znalazł się, bohater! — wrzasnęła Wrona — wszyscy żeście jednego pokroju! — dodała — Degeneraci, oszuści i szpiedzy! Napleniło się tego tałatajstwa po zeszłorocznej Wielkiej Ciemności!

Tłum przytaknął pomrukiem i wszyscy zaczęli odfruwac do swoich spraw. Dierzba podleciał do Kukułki:

— Co się stało, sąsiadko? — zapytał, gdy tylko zdołał przebić się przez jej nieustanne kukanie — jak możemy pomóc?

— Chciałam, żeby sójka zajęła się przez chwilę

moimi maleństwami, ale źle sobie wymierzyłam i zepchnęłam jajeczko tak, że jeden mój skarb spadł na ściótkę...! — wyjęczała — a tam niedaleko widziałam Trąskę, jak skradała się do mojego dziecka. Reszta zaczyna się kluć, nie mogę wyjść z gniazda, a Kukułka przepadł gdzieś, szuka jedzenia. Co ja biedna nieszczęśliwa...! — załkała.

— Proszę się nie martwić! — zakrzyknął Dierzba i zapikował w dół, a za nim nieodłączny Sikora.

Kukułkowa miała rację. Trąska była o centymetry od kukułczego jaja, które leżało wśród mchu. Dierzba wyteżył cały swój talent i zakrzyknął przeciągle brzmiąc jak wściekły, wygłodniały sokół krążący nad upatrzoną ofiarą. Sikora zadrżał ze strachu, mimo że wiedział, kto jest autorem tej myśliwskiej pieśni. Trąska nie mniej przerażona zawróciła i z miejsca pognęła w stronę sadzawki, która znajdowała się nieopodal.

Dierzba sam nie wierząc temu, co działo się, rozejrzał się dookoła. W lesie zaległa przenikliwa cisza.

— Nie ma co, ty to masz talent, przyjacielu! — rzekł Sikora z podziwem.

Obydwaj zaczęli zastanawiać się, jak by tu zwrócić Kukułce zgubione potomstwo. Sikora myślał przez moment bardzo intensywnie i podsunął pomysł zerwania długiego liścia kasztanowca i położenia w nim jaja. Dierzba w lot pojął o co chodzi i już po chwili obydwa z wielkim mozółem nieśli kukułcze jajo jak w hamaku, chwyciwszy w dzioby końcówki liścia.

Kukułka najpierw zaniemówiła, a potem ze łzami radości przyjęła swoje dziecko do gniazda. Las nadal dziwnie milczał. Sikora i Dierzba wrócili na krzew tarniny i opowiedzieli żonom o swojej przygodzie. Sikorowa i Dierzbowa, przepętnione współczuciem dla Kukułki, bardzo się ucieszyły, że ich mężowie zostali bohaterami, mimo że nikt im za to nie podziękował.

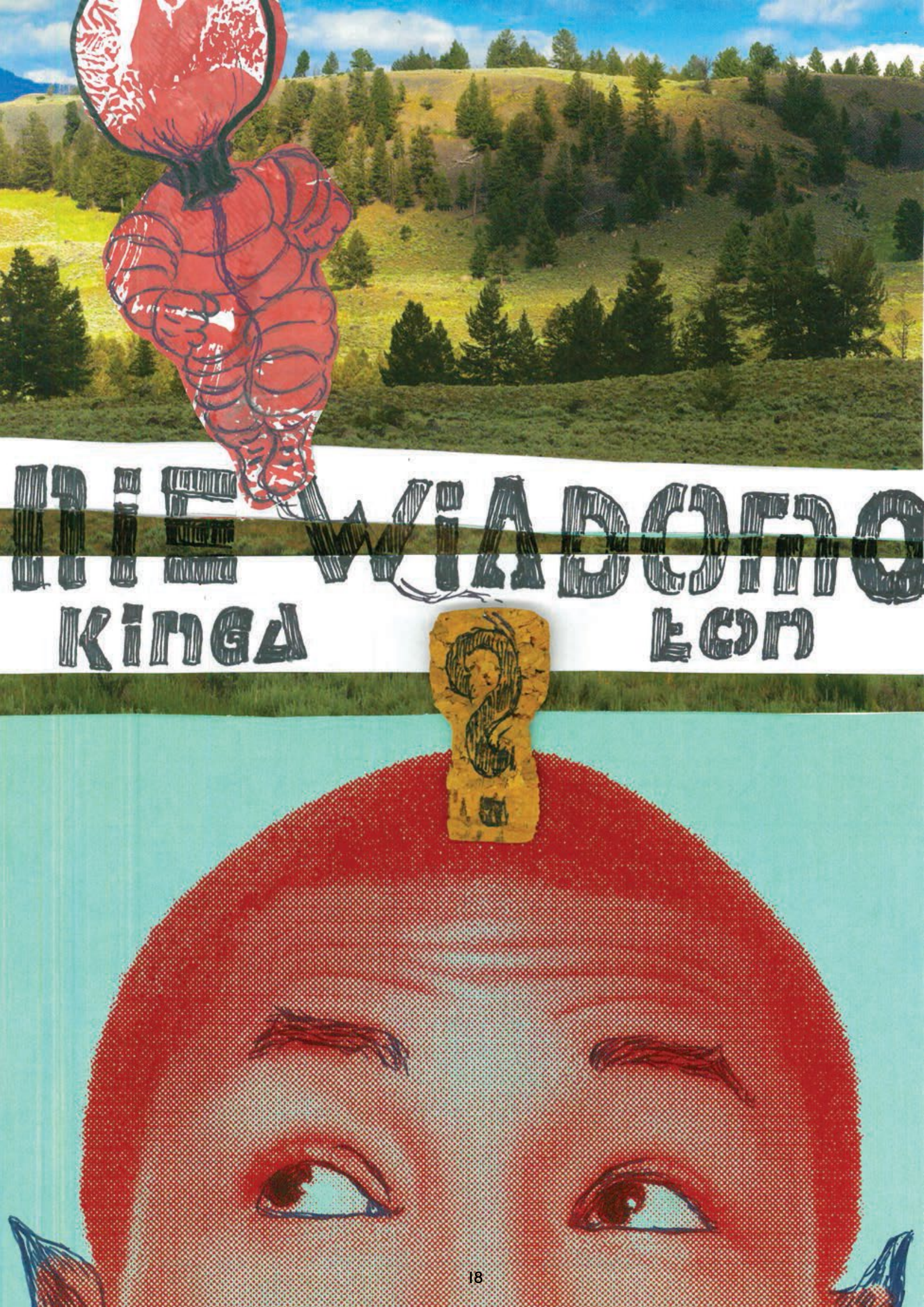
Nazajutrz, tuż po wschodzie Słońca wokół gniazd wyrzutków rozbrzmiał nagle intensywny szum. Przestraszeni Panowie wyskoczyli na ciernie tarniny

i nie mogli uwierzyć własnym oczom. Cały skraj polanki, a nawet dalej, upstrzony był różnobarwnym upierzeniem chyba wszystkich ptasich mieszkańców lasu. Z tłumu wyfrunęła Wrona, usiadła na kamieniu i rzekła:

— Chcielibyśmy was przeprosić, Dierzbo i Sikoro... Kukułka i my wszyscy bardzo wam dziękujemy. Nie wyobrażamy sobie, żebyście nadal mieszkali na tym odludziu. Mam nadzieję, że nam wybaczycie i zechcecie wrócić na gałęzie kasztanowca.

Nie minął tydzień i cały las, a w szczególności kasztanowiec, zaczął rozbrzmiewać radosnymi głosami. Wraz z nowym życiem, które głośno i stanowczo manifestowało swoje przybycie w setkach maleńkich gardziołek, do lasu znów zawitała życzliwość i radość. Wszystkie ptaki z ulgą powitały Dierzbę i Sikorę jako długo wyczekiwanymi i mile widzianymi sąsiadami.

Wliczając w to nawet Panią Kukułkę.



Dla Kaja 4200/56

Nie wiadomo dokładnie kiedy i nie wiadomo gdzie, żył Osobnik. Jego ciało wspierało się na drucianej konstrukcji, skórę miał z bardzo wytrzymałego, elastycznego materiału nowej generacji, funkcyjne dłonie wyposażone były w chowane pazury. Z ramion w przyszłości miały mu wyrosnąć skrzydła, które w świetle zachodzącego słońca wyglądałyby jak płomień. Póki co czuł tylko delikatne mrowienie na plecach. Czubek głowy wieńczył korek, uszy miał szpiczaste, a oczka małe, ale bystre. Cała jego postać smukła i gibka stała na stopach, z których wystawały zalążki korzonków.

Osobnik ów mieszkał w lesie, jego pożywieniem była ściółka, a kotłrą liście. Nie znał nikogo takiego jak on, ale czuł się częścią otaczającej go przyrody. Był człekokształtny, ale nie miał problemu z pobieraniem pokarmu, bo wystarczało mu światło. Nie miał rozbudzonej potrzeby oddalania się od dobrze znanych mu ostępów, dzień w dzień przechadzał się ścieżkami, które prowadziły do znanego celu, miał swoje małe rytuały i lubił prostą, regularną codzienność. Poza tym w lesie tyle się działo! Z każdą porą roku następowała całkowita przemiana, ale Osobnik miał dużo czasu, żeby się do niej przygotować. Można powiedzieć, że prowadził życie badacza, obserwatora ulotnych, ale powtarzalnych zdarzeń. Innej rzeczywistości nie znał, ani nawet nie pomyślał, że istnieje. Zimą, gdy niemal cały las zasypiał, on też popadał w letarg z powodu słabnącego światła. Chyba najmniej znał siebie samego, a pytania, które pojawiały się w jego głowie, dotyczyły zawsze zewnątrz. Był szczęśliwy nawet o tym nie wiedząc.

Zdarzyło się to jesienno, wietrznego poranka, gdy liście fruwały wokół, rozsiewając niepokój. Ktoś zaburzył Osobnikowi ustalony porządek rzeczy. Obecność nieznanego widoczna była w drobiazgach, które nie znajdowały się na swoich miejscach, zupełnie jakby wiatr dostał się tam, gdzie dotychczas nie miał dostępu.

Po raz pierwszy Osobnik nie czuł się całkowicie bezpiecznie. Potrafił czekać, bo spędził długie godziny na podglądaniu zwierząt i roślin, ale tę znaną czynność uprzykrzała narastający dyskomfort spowodowany tym, że nie wiedział kogo lub czego może się spodziewać?! Dzień się kończył lecz wszędobylski szum nie ucichł ani na moment. Monotonia dźwięków i długotrwałe napięcie uspiły Osobnika i właśnie wtedy na scenę wkroczył On w całej swej okazałości: balonowy, nadmuchany, niestabilny, zmiatający swoim cielskiem wszystko z powierzchni ziemi!

Osobnik wybudził się, gdy dokonywała się destrukcja: piach i żwir wzbijały się w górę przybierając kształt trąby, poodłamywane gałęzie były niczym pociski o niekontrolowanym torze lotu, zwierzęta uciekały wydając dzikie wrzaski, nawet niebo przybrało niespotykaną dotąd zielonkawą barwę.

Osobnik nie musiał podejmować szybkich decyzji, teraz jednak czuł, że nie uda mu się długo opierać chaosowi. Zaczął biec za zwierzętami ufając ich instynktowi, ale nie miał szans z Balonowym, szybkim jak sam wicher! Nieuchronnie zbliżało się najgorsze: koniec znanego.

Wir porwał chudego Osobnika i poniósł prosto w michellinowe ramiona Balonowego. Początkowo Osobnik opierał się, szamotał i szarpał, odnosząc małe zwycięstwa z każdym użyciem pazurów. Przyczyną porażki (ale czy na pewno porażki?) była słaba znajomość siebie, ale w odpowiednim momencie otworzył się z głośnym pyknięciem (!) korek w jego głowie i Balonowy ze świstem został wessany w Osobnika.

Nasz bohater nie do końca zdawał sobie sprawę, z tego, co się stało, Miał potężne wzdęcie, szumiało mu w uszach i kręciło się w głowie jak przy hiperwentylacji. Czuł się wyziębiony i skołowany, ale wokół wszystko ustało, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ostatekiem sił owinął się w duży, mięsisty liść i oderwał się od rzeczywistości.

Nie wiadomo jak długo się regenerował, dojrzał w liściowym kokonie, integrował z Balonowym. Komórki jego ciała multiplikowały się, dodając objętości i gdy zwitek napęczniał do ostateczności — pękł niczym strąk grochu i narodził się powtórnie, na nowo, inny.



BABAJKA, CZYLI HISTORIA O KOBIECIE, OPIEKUNCE WIELU DZIECI, KTÓRYCH SIĘ NIE SPODZIEWAŁA.

Kinga Łon

Patrzyłam na swoje stopy w nie swoich butach, a właściwie czarnoburych trepach, wstydziłam się i dziwiłam, że mogłam takie założyć... Cały mój ubiór czynił mnie transparentną, także dla siebie samej, zupełnie jakbym przestała istnieć. W dodatku nie wiedziałam, gdzie zostawiłam dziecko i byłam spóźniona...

To chyba była kobieta (tak wyglądała), ale na pewno miała wdrukowany męski komponent i wyraźnie zarysowane dziecko. Była niemłoda i niestara. Bardzo kolorowa. Roztargniona i uważna. Gdy gotowała zupełnie wnikliwie przyglądała się zachodzącym pod wpływem eksperymentów zmianom, że czasem na obiad jadła kanapki. Oglądała świat przez swoje soczewki, dzięki którym spękana faktura muru, kałuża, stary kalosz z dziurą w podeszwie były niezwykle atrakcyjne. Chętnie dzieliła się swoimi odkryciami i „zarażała” swoim postrzeganiem rzeczywistości. Nieustannie podróżowała, pakowała się, spieszyła i czasem... nie zdążała na czas.

Taki tryb życia niósł ryzyko zagubienia, dreszcz emocji i preferowaną przez nią zmianę. Jej ulubiona zabawa to: „Które drzwi wybierasz?”, wprost nie mogła się doczekać, żeby sprawdzić, co się znajduje po drugiej stronie...

Podczas rozlicznych podróży i walk z przeciwnościami (których stoczyła tyle, że starczyłoby na epopeję), śniła o dziecku: małym, pulchnym, ufnym i przylepnym. Gdy wracała do domu porządkowała, segregowała, klasyfikowała, zasiewała i... siedziała. I wtedy je odkrywała. Najczęściej przychodziły niespodzianie, raz czy dwa zdarzyły jej się „bobaki”, czyli podwójne dziecko. Mimo, że nie była przygotowana, zwykle radziła sobie sama lub z pomocą intuicji, a nawet ludzi. Najgorzej, gdy je gdzieś gubiła, bo o nich zapominała, a potem rozpaczliwie szukała. Czasem udawało jej się któreś uratować, tak jak wtedy, gdy dziecko zostało niemal całkiem wessane przez odpływ w wannie – szybki refleks Onej je ocalił.

Prawie zawsze Niespodzianki były nadzwyczaj zdolne i już jako wczesne niemowlęta potrafiły chodzić, biegać i mówić w ludzkim języku. Trzeba było mieć je ciągle „na oku” i uważać, żeby nie stała się im krzywda. Było to trudne szczególnie w przypadku malutkiej nakręcanej figurki. Jeszcze trudniejsze było ośmielić się, zaryzykować i wypuścić je „do świata”, bo przecież niesamodzielne byłyby nieszczęśliwe!

Miała odwiecznego wroga, był nim Chaos, brat Czasu. Gotowa była stoczyć walkę wręcz, bo miała przecież wojowniczą naturę, ale to nie był tego typu przeciwnik. Był podstępny, niejednorodny, impulsywny, przenikający, w ostatecznej formie przyjmujący postać śmierci. Chaos wznagał w niej kompulsywne działania.

Zdarzało się, że atakował ją we własnym domu! A nie było łatwo się do niego dostać. Po pierwsze: nie wiadomo było, który to dom pośród innych bardzo podobnych, stojących na planszy do gry. Po drugie: gdy już się rozpoznało ten właściwy, trzeba było wjechać windą. Była to długa podróż, bynajmniej nie w linii prostej do góry, zaledwie po kilku minutach wzwyż winda szybowoła w poprzek bloku. Po trzecie: każdorazowo kod dostępu i trasa były zmieniane. Ona nie miała pamięci do ciągów cyfr, więc musiała liczyć na pomoc znajomych sąsiadów. Wychodząc potrzebowała zabrać ze sobą wszystkie niezbędne rzeczy, bo jeśliby chciała po coś wracać, to na pewno nie zdążyłaby na czas.

Któregoś razu zjawił się Chaos w trzech postaciach i przychodził trzykrotnie. Przyjaciółka podpowiadała jej, żeby czekając na niego dla niepoznaki zdjąć buty, bo kto w butach siedzi w domu? Tak więc siedziała bez butów. Najgorszy był moment, gdy już wyczuwała Jego obecność, ale nie wiedziała, gdzie jest i skąd wyskoczy? Gdy pojawił się Pierwszy okazało się, że wystarczyło go odgonić, bo nie był groźny, tylko namolny. Drugi był zafiksowanym na sobie szopenem, próbowała go pokonać (skutecznie!), przekonując o jego wyjątkowości i świetlanej przyszłości. Świadkiem tych ataków był młody mężczyzna, który mógł się tylko

przyglądać. Ostatni był najgorszy, bo był człowiekiem, który CHCIAŁ ją skrzywdzić i zdawało się, że nie ma sposobu, żeby go od tego odwieść.

Było tak: bawiła się z małą dziewczynką, udawała, że go nie zauważa, ale on nie odpuszczał, przybiegł pod postacią czarnej bestii, szarpał jej ubranie... Wyrwała się i wybiegła na podwórze, bez butów, bo nie było czasu szukać pośród wielu. Zaczęły biec za nią szczekające psy zdradzając, gdzie jest, ale milkły, gdy wskazywała na nie palcem.

Nastąpiło jeszcze wiele starć, które z czasem zatarły się w jej pamięci, więc Wam o nich nie opowiem. Ostatecznie użyła jego broni – czarnej bestii, która zaczęła jej służyć i zaatakowała Złego Pana. Po tym zdarzeniu zebrała kupkę ubrań, plecak i wyruszyła, postanawiając ubrać się po drodze.

Nazywała się Onaba, dla przyjaciół Ona albo Aba.



GAME OVER

Michał Maciejak

Dawno, dawno temu gdy na ziemi były jeszcze dzikie puszcze, nieuregulowane rzeki, Antarktydę pokrywał lodowiec, a prędkość Internetu mierzono w kilobitach na sekundę.

Wszyscy żyli w jednej wiosce, do której wchodziło się najczęściej Oknem, podróżowało za pomocą Binokli. Ludzkie twarze były jak książki, a światem rządził wielki Sir Wer.

Nikt nie wiedział, gdzie mieszkał Sir Wer, choć były osoby, które twierdziły, że wiedzę trzyma w Chmurze i to od Chmury należy się uczyć. Podobno Istniało wtedy jeszcze życie poza-internetowe!!!

Pojawiali się podobno ludzie, mówiący, że są rzeczy, których nie ma w chmurze, nie wypatrzy się ich przez Binokle, nie widać ich z Okna, a co gorsze, że! nie wie o nich sam Sir Wer!

Na szczęście takich ludzi nie było dużo na świecie. W Wiosce każdy miał więcej niż 13 lat, ludzie logowali się do życia, wchodząc przez okno i mając 13 lat. Na środku wioski stał wielki pomnik, który miał dwie różne ręce; podobno jedna dawała, a druga zabierała. Miał parę oczu, jedno oko przymykało się bardzo często, a drugie było sokole. Miał także piękne usta, które odpowiadały na wszystkie pytania. Co najważniejsze, miał także zegarek zbudowany z bardzo klejącej substancji. Najstarsze osoby, które jako pierwsze wskoczyły przez okno, mówiły, że przyszły tu tylko na chwilę...

Wielki Sir Wer postanowił wyjść z chmur. „Powiem wam straszną prawdę!

Ponieważ zużyliśmy wszystkie źródła energii, coraz bardziej możliwe jest, że wyłączą nam źródło zasilania. Nadal będę latał na chmurach, ale wy stracie mnie z oczu, nawet jak założycie binokle, a co najgorsze, nie da się otworzyć Okna!!!”.

Musimy przywrócić ustawienia do roku 0 naszej ery nazywanego kiedyś 2000 roku – mówił dalej. „To może być dla was szok, ponieważ wtedy były jeszcze dzikie puszcze, nieuregulowa-

jak książki zaczęły znikać litery, Binokle nie mogły wypatrzeć żadnej odpowiedzi. A Okna zaczęły trzaskać i zawieszać się w zawiasach.

Podobno gdzieś na końcach Internetu można znaleźć ślady Sir Wera, który teraz

To było, trochę inaczej, posłuchajcie... Wszystko zaczęło się gdy w telefonach nie było jeszcze Internetu a gry nie mogły wydostać się z więzienia 2D którego strzegły piksele. Dostaliśmy zakodowaną wiadomość z prośbą o ratunek. I hasłem, jak wejść

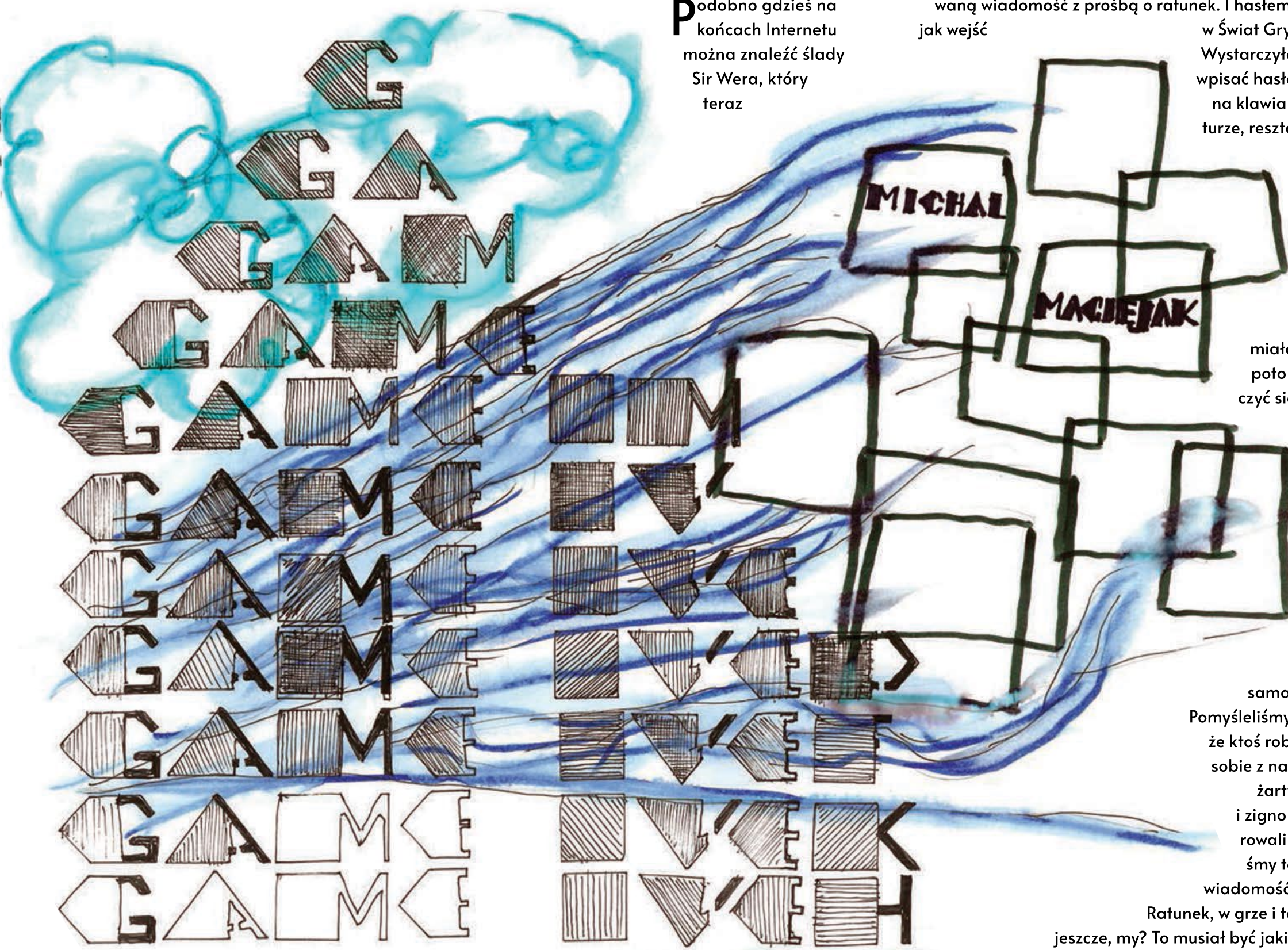
w Świat Gry. Wystarczyło wpisać hasło na klawiaturze, reszta

miała potoczyć się

sama. Pomyśleliśmy, że ktoś robi sobie z nas żarty i zignorowaliśmy tę wiadomość.

Ratunek, w grze i to jeszcze, my? To musiał być jakiś błąd gry. Gdy wyłączyliśmy komputer moje ręce zaczęły robić się dziwnie kwadratowe, a monitor zaczął bardzo jasno świecić. Zamknąłem oczy i znalazłem się pod jakimś pomnikiem. Pomyślałem, że widocznie tyle grałem,

bardzo się stara, żeby zaprosić ludzi do swojego wirtualnego świata.
- Dziadku a to prawda, że Ty tam byłeś?



ne rzeki, Antarktydę pokrywał lodowiec, a prędkość Internetu mierzono w kilobitach na sekundę”. Chmury pociemniały, z twarzy zapisanych

że zasnął. To był bardzo dziwny pomnik, miał dwie ręce, jedna z nich, ta mniejsza jakby coś chciała dać... druga z kolei, próbowała wszystko zabrać. Odsunąłem się na bezpieczną odległość i zobaczyłem przerażające oczy jedno wydawało się być ślepe, drugie było jak obiektyw szerokokątny z ogromnym zoomem. Najbardziej przerażające w tym wszystkim wydawały mi się być usta, do których ludzie stali w kolejce by odpowiedziały im odpowiedzią, którą chcieli usłyszeć. Jednego nie rozumiałem dlaczego ten pomnik ma rozptylający się zegarek, zbudowany jakby z gumy...

Gdy tak stałem podjechał do mnie człękokształtny robot i szepnął, żebym powoli i jakby się nic nie stało, bardzo powoli odszedł i zniknął z pola widzenia pomnika. Miałem iść przed siebie, dwa razy w prawo, raz w lewo i długo prosto. Pod żadnym pozorem nie oglądając się za siebie i nie przyspieszać kroku, nie wolno mi też było spojrzeć na roztopiający się zegarek, na mojej ręce. Robot bardzo szybko odjechał.

Poszedłem spokojnym krokiem, podróż wydawała się przeciągać w nieskończoność. Czuję jak sekundy kapią mi z zegarka. Gdy doszedłem do wskazanego miejsca, moje włosy zrobiły się o wiele dłuższe. Dłonie były jakieś inne, a z zegarka jak wodospad spływały godziny. Pamiętasz jak wygląda twój świat? Jeżeli chcesz go ocalić naciśnij Enter – wejdiesz wtedy do gry i będziesz miał szansę ocalić świat. Jeżeli nie naciśnij Esc – wrócisz przed swój komputer i o wszystkim zapomnisz. O nic nie wolno Ci zapytać, każde pytanie wychwyć wielkie Binokle, które i tak już Cię indeksują.

- Ale..
- Aleksander! Powiedz Aleksander i siedź cicho, bo zaraz tu przyjdą, żadnych pytań, tylko wybór.
- Nie! Powiedz mi, co tu się dzieje? albo wracam do domu.

Poczułem na sobie spojrzenie, przeszywające i zbierające wszystkie informacje o mnie.

Przepadłeś jak wszyscy tutaj.



Wracaj szybko, to się jeszcze nigdy nie zdarzyło!- System nie może cię usunąć, a to może znaczyć jedno.

- Co?

- Nic, nigdy nie szukaj odpowiedzi jak ją znasz. Chodź za mną!

- A...

- Błagam Cię, chodź!!

I tak poszliśmy, jak idzie się po życie, śmierć, ukochanych, konsolę, grę, chleb. I tak poszliśmy jak nigdy dotąd. Zegarek na mojej ręce topił się, a stopione godziny były tak słone, że wgrzyzały mi się w rękę już od dłuższego czasu. Błąkaliśmy się, nie mogąc zadać żadnych pytań. Gdy jesteś sam, pytania wydają się być jak droga, albo przynajmniej drogowaskazy.

Pewnej nocy nie wytrzymałem i zapytałem się: „dlaczego? Ile mam jeszcze wytrzymać!?” nawet nie zauważyłem kiedy otoczyły nas piksele i na horyzoncie pojawiły się wielkie binokle. Zostaliśmy zaindeksowani jak zwykła informacja z chwili na chwilę, pojawiały się nowe pytania, które przygniatały nas, dusząc i spychając na koniec Internetu.

Do trzech razy sztuka! Ale nie tym razem. Zdenerwowaliśmy wielkiego Sir Wera i chciał nas wymazać. To znaczyło, że już nigdy nie wrócę do domu. I w tym momencie, moja historia się kończy. Przegrałem, to historia, bez morału i puenty. Bez wyraźnego zakończenia i podstawy powstania. Dalej nic się nie stało. Dziękuję za uwagę.

Żartowałem. W momencie, w którym Wielki Sir Wer chciał nas zepchnąć, na koniec Internetu albo jakiś dysk zewnętrzny, pojawił się B. Brama. B. Brama stworzył okienko w tunelu. Gdy skradaliśmy się, do małego okienka, żeby wejść przez nie do Wielkiego Sir Wera, spotkaliśmy B. Brama, powiedział, że połączenie sieciowe nie utrzyma nas razem, że tylko jeden może przejść. I tylko jednego z nas może uratować. Wypadło na mnie.

Obiecałem mojemu bezimiennemu przyjacielowi, że kiedyś opiszę tę historię i przekażę jakiemuś młodeму człowiekowi, żeby ostrzegał, najmłodszych czytelników i ich rodziców, że przez ekran komputera, można wypaść jak przez okno. Dlatego teraz dla bezpieczeństwa na żadnym monitorze nie znajdziecie klamki.

BAŚN O BIAŁEJ WILCZYCY

SONIA
RUSZKOWSKA

BAŚN O BIAŁEJ WILCZYCY

Sonia Ruszkowska

Dawno temu, w północnej krainie porośniętej gęstym lasem, żyli Król i Królowa. Ich zamek stał samotnie na skale, górując nad okolicą. Kiedy wiał silny wiatr, drzewa ugięły się i szumiały jak morskie fale.

Pewnej chłodnej nocy na świat przyszła Królewna, a rodzice, uradowani, czuwalili nad jej snem. Dziewczynka rosła, otoczona miłością Króla, Królowej i poddanych. Kiedy miała kilka lat, okazało się, że nie potrafi nauczyć się języka, jakim mówili wszyscy w Królestwie. Znała za to inny język, rozbudowany i dźwięczny, jednak nikt prócz niej go nie rozumiał. Król i Królowa z całego kraju ściągnęli wybitnych nauczycieli, którzy mieli nauczyć Królewnę mówić w języku Królestwa. Na próżno.

Ta porażka rzuciła cień na życie mieszkańców zamku. Poddani opowiadali o smutku Królowej i o wybuchach złości Króla. Oboje zaczęli unikać córki.

Mijały lata. Królewna dorosła. Dużo czasu spędzała sama, wędrując po lesie. Jej nieobecności stawały się coraz dłuższe, ale nikt ich już nie zauważał.

Królewna miała sekret. Pewnej nocy, kiedy szła w gęstym lesie, napotkała kilku rozbójników. Byli niedaleko, rozdzielali między sobą łupy. Dziewczyna przywarła do drzewa, wstrzymując oddech i znieruchomiała. Nagle ze zdumieniem odkryła, że zatapia się w coś miękkiego, co przyjmuje ją do siebie. Poczuli się bezpiecznie i dobrze. Znalazła się wewnątrz drzewa, prawie jakby była jego częścią. Następnego dnia obudziła się, leżąc wśród jego korzeni. Po rozbójnikach nie

było śladu. Od tego momentu za każdym razem, gdy tego chciała, mogła wejść do wnętrza drzewa, gdy tylko mocno do niego przywarła. Z początku korzystała z tego, gdy chciała się stać niewidoczna; potem coraz więcej czasu spędzała we wnętrzu drzew. Tam czuła, że jest u siebie.

Raz w roku w królestwie Rurządzano Święto. Wszyscy poddani uczestniczyli w gorących przygotowaniach. W dniu poprzedzającym ucztę w lesie odbywało się wielkie polowanie. Miejsca zwykle odludne i ciche wypełniły się grzmotem wystrzałów i nawoływaniem naganaczy. Królewna ze strachem zauważyła, że wielu łowczych idzie do odległych, tylko jej znanych części lasu. Byli podnieceni i wściekli, mieli ze sobą tropiące psy. Szli w jej kierunku, widziała już ich twarze. Zapomniała, że jest Królewną; była teraz częścią lasu, była zwierzyną, którą oni chcieli upolować. Jej serce biło coraz szybciej, schwytane w sidła przez paniczny lęk. Prawie nieprzytomna, przywarła do rosnącego obok starego drzewa i z westchnieniem ukryła się w jego wnętrzu. Tu nikt nie mógł jej znaleźć. Odetchnęła z ulgą, gdy głosy mężczyzn zaczęły cichnąć.

Nagle poczuła, że zapada się coraz głębiej w drzewo – tak, jakby miała już nigdy nie wrócić. Bała się tego, a jednocześnie pragnęła zapadać się dalej. Po pewnym czasie wyczuła wokół siebie wilgotną, żyzną ziemię. Dłońmi natrafiła na twarde korzenie drzewa. Było ciemno. Królewna znalazła się w podziemnym świecie i nie mogła już zawrócić.

Zaczęła rozgar-
niać ziemię rękami.



Poczuli napór ziemi i trud, z jakim nabierała powietrza do płuc. Było go coraz mniej. Przyptyw paniki zmuszał ją jednak do coraz większego wysiłku. Nie była pewna, czy kieruje się w górę czy w dół, wiedziała tylko, że musi być w ruchu, musi spróbować się stąd wydostać. Jej wysiłki nie dawały jednak żadnego efektu. Po wielu godzinach, bezsilna, zasnęła ze zmęczenia. Gdy się obudziła, poczuła, że jest jej bardzo zimno. Wiedziała, że nikt jej nie pomoże. Nie miała już siły ani dość nadziei w sercu, by podejmować kolejne próby uwolnienia się. Leżała bez ruchu. „Nie wiem, gdzie jestem, ani jak znaleźć wyjście” – szepnęła do siebie i zamknęła oczy.

Po dłuższej chwili ze zdziwieniem usłyszała dobiegające z oddali echo własnych słów... „znaleźć wyjście... znaleźć wyjście...” – mówiło echo. Podążając za nagłym impulsem, zaczęła przeciskać się przez zwalę ziemi w stronę, z której dobiegał głos. W ten sposób po jakimś czasie dotarła do podziemnej groty, w której rozlegało się echo. Było tam więcej przestrzeni, mogła swobodnie oddychać. W głębi dostrzegła taflę wody podziemnego jeziora.

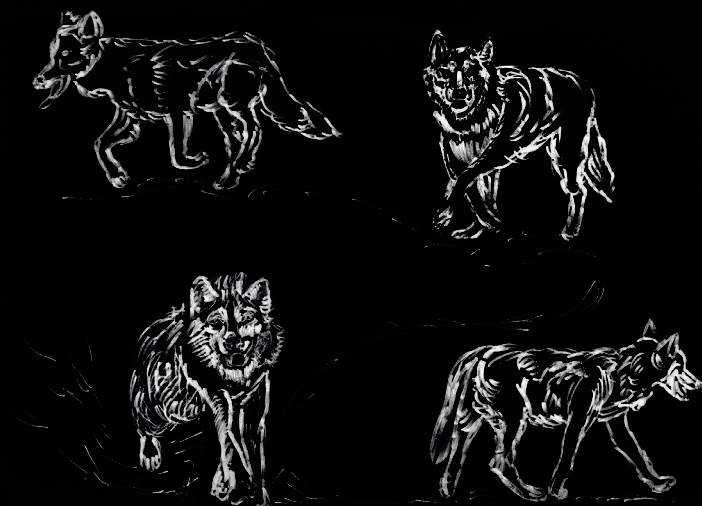


Czując przyptyw spokoju, powoli podeszła do brzegu. Ukucnęła i wyciągnęła dłonie, by zaczerpnąć wody. Wtedy usłyszała głos, tak nagły, że odskoczyła do tyłu, przestraszona. Na wielkim kamieniu na środku jeziora siedział śnieżny lis. Patrzył na nią. „Woda z tego jeziora to woda mocy” – powiedział. „Jeśli się jej napijesz, staniesz się bardzo silna i będziesz mogła przezwyciężyć każdy lęk”.



Królowna patrzyła na niego, nic nie mówiąc. „Zanim zdecydujesz się napić wody, zastanów się, czy chcesz tej sily”, powiedział na koniec lis i zniknął, by po chwili pojawić się na nowo blisko niej — tak blisko, że mogła poczuć zapach jego czystego, śnieżnobiałego futra. Usiadł przy niej i razem z nią wpatrywał się w taflę wody. „Być silna....” — myślała Królowna. „Przezwyćczyć każdy lęk...” — słowa lisa wywoływały w niej echo. Powoli dotknęła taflę jeziora dłonią. Delikatnie nabrała wody i wypila.

Nagle poczuła, że musi się śpieszyć. Obudził się w niej gniew, który szybko narastał. Zaczęła biec przed siebie, jakby wiedziała, gdzie jest wyjście z podziemnej groty, i ono rzeczywiście tam było. Nie zauważyła nawet, jak bardzo zmienił się odgłos jej kroków — już nie dziewczęcych stóp, a wilczych łap. Wybiegła wprost w objęcia znanego jej lasu. Znów słyszała zewsząd odgłosy nagonki i strzały łowczych, tym razem jednak się nie bała. Chciała ich spotkać. Biegła w ich stronę coraz szybciej. Pęd powietrza i swoboda ruchów oszałamiały ją. Dopiero teraz dostrzegła to, co stało się w grocie — własną przemianę



w wilcze ciało — silne, umięśnione, pełne życia. Teraz to ona polowała. Pierwszego łowczego dopadła, prawie nie przerywając biegu. Rozszarpała mu gardło. Poczuła ciepły smak krwi. Już po chwili wysokim skokiem atakowała drugiego. Trzeci rzucił się do ucieczki, ale zdążył odbiec tylko kilka kroków. Kolejni mężczyźni, sparaliżowani strachem na widok olbrzymiej białej wilczycy, nie zdążyli przeładować broni. Ich krzyk podniecał jej wściekłość; atakowała bez litości.

W końcu las pogrążył się w ciszy. Zapadał zmrok. Duży biały kształt podążył szybko w kierunku zamku. Nad drzewami przetoczył się przeciągły, wilczy zew. Król i królowa siedzieli w zamku i słysząc wycie, mimowolnie zadrżeli.

Królowna pod postacią wilczycy dobrze знаła drogę do zamku. Nie byli jej w stanie powstrzymać strażnicy. Niektórzy na jej widok uciekali, inni stawiali do walki, która szybko kończyła się ich śmiercią. Król i Królowa, odrętwiali ze strachu, czekali w sali tronowej. Nie słyszeli kroków wilczycy, która poruszała się bezszelestnie. A jednak czuli, że nadchodzi. Oparła się potężnymi łapami o ciężkie dębowe drzwi, które wkrótce ustąpiły. Wbiegła do sali, kierując się ku Królowi i Królowej. Rozchyliła pysk. Jej kły były ostre. Z jej gardła dał się słyszeć przeciągły, ostrzegawczy warkot. Tylko tyle było trzeba, by Król i Królowa rzucili się do ucieczki. Nie spojrzeli na wilczycę, nie rozpoznali w niej Królowny. Pozwoliła im uciec, skazując ich na wygnanie.

Tego wieczoru Wilczyca długo jeszcze krążyła po królewskim mieście, niespokojna i pełna gniewu. Ludzie zamknęli się w domach, zabarykadowując drzwi

i zamykając okiennice w oknach. Gdy nastała najzimniejsza pora nocy, udała się na najwyższy punkt w okolicy — odsto-niętą skałę. Tam, zgodnie ze swoją wilczą naturą, wyła do księżyca. W jej wyciu były gniew i smutek, żal i tęsknota. Była też radość ze świeżo odzyskanej wolności.

W pewnej chwili Królowna ze zdziwieniem usłyszała podobne wycie, rozlegające się z innej strony. Do niego dołą-czały kolejne głosy, aż cały las rozgrzmiał wilczym śpiewem. Dopiero teraz wilczyca poczuła, jak bardzo była samotna. Jak bardzo potrzebowała obecności innych, jej podobnych. Wybiegła im na spotkanie.

Tak rozpoczęły się w Królestwie rządy królowej Białej Wilczycy, jak ją nazywano. Czasami pokazywała się w ludzkiej skórze, ale zwykle wolała być pod postacią wilka. Nigdy dobrze nie opanowała ludzkiej mowy, która wydawała jej się zbyt ograniczona. Wraz z nią zawsze mieszkali jej wilczy bracia i siostry, tak, że nigdy już nie czuła się samotna. Mieszkańcy początkowo obawiali się jej rządów, ale od czasu przejścia władzy Biała Wilczyca stała się spokojniejsza. Tylko w wyjątkowych sytuacjach pokazywała kły. Z upływem lat okazało się, że w wielu sytuacjach ich waleczna Królowa potrafi podejmować mądre decyzje dla dobra całej wspólnoty. Jej siła i odwaga sprawiły, że sąsiednie królestwa nie próbowały ich atakować.

Po wielu latach wrócili z wygnania starzy Król i Królowa, do których doszły słuchy o tym, kim była tajemnicza postać zaklęta w wilka. Kiedy wkroczyli przez bramę miasta, masywny, biały kształt pojawił się w pobliżu. Wilczyca obser-wowowała ich. Nie była pewna, co chce z nimi zrobić. Przez kilka kolejnych wieczorów krążyła wokół domostwa, które zajęli na obrzeżu miasta. Raz podchodziła blisko, jakby miała wejść do środka, raz odbiegała, z pełnym irytacji warczeniem. Starzy Król i Królowa czekali. Któregoś ranka oboje wyszli przed dom do ogrodu. Była zima. Usiedli na ławce, niczego do siebie nie mówiąc. Patrzyli przed siebie, jakby na coś czekali. Wtem spostrzegli, że kilka metrów przed nimi siedzi biały wilk — tak biały, że w pierwszej chwili nie zobaczyli go na tle śniegu. A może to była wilczyca? Siedzieli tak przez dłuższy czas, patrząc na siebie, bez ruchu. Cisza między nimi wyjaśniała więcej niż morze słów.

Od tego dnia Królowa — pod postacią wilczą lub, jak bywało, również ludzką — od czasu do czasu odwiedzała rodziców. Zasiadali razem, co z początku było dla wszystkich trudne, a z upływem lat stawało się łatwiejsze. W Królestwie zapanował pokój.





BASŃ O SMAKU

Sonia Ruszkowska

Dawno, dawno temu żył sobie Królewicz. Pochodził z daleka, nikt dokładnie nie wiedział skąd i nikt go o to nie pytał, być może dlatego, że Królewicz był silny. To wystarczyło, mówiło samo za siebie. Ważne było, że pokonywał tych, którzy stawali mu na drodze: ludzi, zwierzęta i potwory. Z tego słynął. Królewicz pochodził z daleka i podróżował daleko. Przechodził niepostrzeżenie z jednej dali do drugiej — nie wiadomo, w jaki sposób omijając to, co bliskie i tutejsze. Czasami wycofywał się z walki, która wydawała mu się bezsensowna. Trudno było go sprowokować do tego, by stracił panowanie nad sobą. Ci, którzy chcieli go pokonać, dawali w końcu za wygraną, gdyż nie mogli odgadnąć, czego Królewicz tak naprawdę pragnął. Na pewno nie Korony Królestwa, gdyż nawet nie stawał o nią w szranki. Nie pragnął też ręki Królowny z sąsiedniego kraju, ani bogatego skarbcza. Wydawało się, jakby Królewicz po prostu wciąż podróżował do kolejnej dali — spotykając to, co miało go tam spotkać.

Tego dnia Królewicz zatrzymał się w przydrożnej gospodzie, zmuszony do dłuższego postoju ze względu na zepsute siodło. Usiadł przy stole — był jedynym gościem — i zaczął jeść zamówiony wcześniej obiad. Już po pierwszym kęsie zapomniał o wszystkim. Czuł na podniebieniu rozkosz, której nie potrafił z niczym porównać. Była w niej lekkość i barwa czegoś nieznanego, a jednocześnie bardzo mu bliskiego. Czas zatrzymał się i całą swą intensywność przekazał zmysłom. Królewicz długo siedział przy stole, jedząc swoją nieziemską potrawę, a kiedy skończył, długo jeszcze trwał bez ruchu, w niemym zachwycie wobec tego, co się właśnie wydarzyło. Potem wstał i poszedł do kuchni gospody, by znaleźć tego, kto stworzył tak doskonałe dzieło. W kuchni siedział Kucharz, który wyglądał zupełnie zwyczajnie. Tylko jego oczy — intensywnie niebieskie — lśniły tajemniczym blaskiem. Mężczyźni przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, patrząc na siebie badawczo. Nic się nie działo. Wreszcie Królewicz zrozumiał, że tylko on może przerwać ciszę.

„Kim jesteś?” – zapytał Kucharza.

„A kim ty jesteś?” – odpowiedział pytaniem Kucharz. „Niczego ci nie wyjaśnię, dopóki ty sam nie powiesz mi, skąd pochodzisz i czego pragniesz” – dodał.

Królewicz zamarł. Poczuł lęk.

„Nikt do tej pory nigdy mnie o to nie pytał” – rzekł.

„Ja teraz Cię pytam” – odparł Kucharz.

Królewicz wyszedł z izby, szukając spokojnego miejsca, gdzie mógłby zastanowić się nad odpowiedzią. Nadszedł wieczór. Kucharz zaprowadził Królewicza do samotnej wieży stojącej na skraju lasu.

„Tu będziesz spał” – powiedział. W wieży było ciepło i sucho. Na podłodze leżała słoma. Światło księżyca wpadające przez okno rozjaśniało pokój.

Następnego dnia rano Królewicz jadł w gospodzie śniadanie. I znów każdy kęs jedzenia wprawiał go w niepohamowaną rozkosz. Po posiłku Kucharz sprzątnął naczynia i usiadł po drugiej stronie stołu. Spojrzał na niego i wrócił do pytania.

„Kim jesteś?”

„Jestem Królewiczem. Miałem rodziców: matkę, która mnie urodziła i ojca, który uczył mnie walczyć”. „Skąd pochodzisz?” – zadał kolejne pytanie Kucharz.

„Mieszkalem z rodzicami w Pałacu, który dla mnie był po prostu domem. Tam znałem każdy przedmiot, każdy kąt. Tam się bawiłem i kładłem się spać. Byłem u siebie”.

„A gdzie jesteś teraz?”

„Teraz jestem tutaj. Daleko”.

„Dobrze. Odpowiedziałeś na moje pytania” – Kucharz uśmiechnął się.

„Czego chcesz ode mnie?”

„Chcę, żebyś nauczył mnie tak gotować” – powiedział Królewicz i mówiąc to, poczuł, że rzeczywiście to było to, czego pragnął. Kucharz skinął głową i cicho opuścił pokój.

Królewicz czuł, że chce ruszyć dalej — tak, dał wzywać go jak zawsze, ale wiedział, że tym razem zostanie. Wiedział, po co chce zostać. Zamieszkał w samotnej wieży.

Każdego dnia trzy razy jadł w gospodzie posiłki gotowane przez Kucharza. Zawsze doświadczał wielkiej rozkoszy — za każdym razem innej. Goście pojawiali się tu bardzo rzadko, więc mężczyźni większość czasu spędzali samotnie. Dużo milczeli. Nie wracali już do poprzedniej rozmowy, jakby wiedzieli, że to nie było potrzebne. Mimo to obaj pamiętali, po co Królewicz został w gospodzie.

Mijał czas — dni, tygodnie, miesiące. Życie obu mężczyzn toczyło się spokojnie, jakby uświęcone rytuałem, który bezgłośnie odnaleźli lub stworzyli, wykonując co dnia podobne ruchy, wymawiając podobne słowa. Nie było w nich pośpiechu ani próby zatrzymania tego, co miało nastąpić. Znaleźli wspólny rytm złożony z gotowania i smakowania, działania i rozkoszowania się.

Kiedy minął rok od przyjazdu Królewicza do gospody, Kucharz powiedział: „Chcę, żebyś każdej nocy przypominał sobie dokładnie to, czego zasmakowałeś trzykrotnie w ciągu dnia i byś mógł dokładnie przywołać ten smak, gdy siedzisz w swojej wieży, wpatrując się w ścianę rozświetloną światłem księżyca”. Brzmiało to jak łatwe zadanie, jednak gdy nastąpiła noc, okazało się, że Królewicz nie pamiętał już zbyt dokładnie smaku żadnej z potraw, których skosztował. Było tak, jakby jego zmysły — w pełni ożywione w czasie posiłku — zamierały i zamykały się, kiedy posiłek się kończył.

„Niczego nie pamiętam” – powiedział z rozpaczą następnego dnia. Im bardziej natężał się i skupiał, by zatrzymać wrażenie smaku, tym trudniej było mu przywołać go o nocnej godzinie. Po jakimś czasie Królewicz spostrzegł, że same posiłki zaczęły mu sprawiać coraz mniej przyjemności. Przejęty swoim zadaniem, tracił smak.

„Jesteś nieszczęśliwy” – powiedziała Dziewczyna, która zobaczyła go, przechodząc drogą niedaleko wieży. „Tak. Nie mogę zapamiętać smaku. Umyka mi, nie mogę go uchwycić”.

„Kto czuje smak?” – zapytała Dziewczyna, po czym zamieniła się w barwnego ptaka i odleciała nad lasem. „Kto czuje smak?” – powtórzył w myślach Królewicz. Od tej pory przez długie dni i miesiące chodził z tym pytaniem. Pytanie było z nim, kiedy otwierał usta, smakując potrawy; było z nim, kiedy kończył posiłek i wychodził z gospody. Zasypiał i budził się z nim.

Minął rok. Królewicz każdego ranka zjadł nieziemsko smaczne śniadanie i udał się do lasu na powolny spacer. Przed nim stała Dziewczyna-Ptak. „Kto czuje smak?” – zapytała znowu, jakby to było jedyne zdanie, które potrafiła wypowiedzieć. Przez cały rok Królewicz zmagał się z nim, i dopiero teraz odpowiedź pojawiła się w nim z całą prostotą: „To ja czuję smak. Kiedy kosztuję

potrawy, ja i smak jesteśmy jednym. Nie mogę zapamiętać smaku, ale mogę zapamiętać samego siebie, który czuje rozkosz smaku. To wszystko jest we mnie”. Dziewczyna spojrzała na niego, skinęła głową i znów, jako ptak, wzbiła się nad lasem.

Następnego dnia Królewicz powiedział Kucharzowi, że potrafi już zapamiętać smak, i było tak w istocie. Nawet teraz jednak Kucharz nie zamierzał dopuścić Królewicza do tajemnej nauki gotowania. „Dlaczego nie chcesz mnie tego nauczyć?” – krzyknął młodzieniec, bo poczuł, że wzbiera w nim gniew, a długo pielęgnowana cierpliwość znika. „Od dwóch lat przychodzę tu codziennie. Porzuciłem moje podróże i siedzę tu, unieruchomiony, na tej suchej ziemi. Tak jak chciałeś, potrafię już zapamiętać smak każdej z potraw i przywołać je w każdym momencie, z wszystkimi subtelnościami, jakie tylko można sobie wyobrazić. Czego jeszcze chcesz?”.

Kucharz milczał. „Czemu nie chcesz nauczyć mnie gotować?!?” – ponowił pytanie Królewicz, zaciskając pięści i podchodząc bardzo blisko do drugiego mężczyzny. Ten jednak nie okazał nawet cienia lęku. „Właśnie to robię” – odrzekł.

Następnego dnia Kucharz powiedział: „Chcę, żebyś po każdym posiłku opisał mi doznania smakowe, jakie przeżyłeś w trakcie jedzenia. Chcę, żebyś potrafił kunsztem słowa dotknąć każdej cząstki smaku, jakiej doznałeś na podniebieniu. Chcę, żebyś umiał wszystko to, co przeżyłeś, wyrazić”.

To znów nie wydawało się szczególnie trudne. Jednak gdy po skończonym śniadaniu Kucharz usiadł naprzeciw Królewicza i powiedział: „Opowiedz mi”, ten milczał. Poczuł zawstydzenie. Nie potrafił się zdobyć na to, żeby wypowiedzieć na głos to, co się działo w nim – wyrazić tej rozkoszy, przyjemności, entuzjazmu, zaciekawienia, które go przepełniały. To było zbyt osobiste.

Tak płynęły kolejne dni. Po każdym posiłku Kucharz czekał na słowa Królewicza, który tylko patrzył na niego, kręcił głową i wstawał od stołu w milczeniu. Czasem w tym milczeniu można było wyczuć gniew i napięcie, czasem – rezygnację i żal.

Po dłuższym czasie Królewicz szedł ścieżką w stronę swojej wieży. Nagle tuż koło niego pojawiła się

Dziewczyna. Nie widział jej tak dawno! „Jesteś nieszczęśliwy!” – powiedziała słowa, które były echem jej poprzednich słów. „Jestem samotny!” – odpowiedział Królewicz i mówiąc to, poczuł, że rzeczywiście był samotny. Nic więcej się nie wydarzyło, jednak następnego dnia, gdy Kucharz jak zwykle siedział naprzeciw niego, czekając na opowieść, Królewicz pierwszy raz poczuł pragnienie, żeby otworzyć przed nim swoje serce. Teraz chciał, by Kucharz zrozumiał, jak wspaniałe przeżywa chwile, smakując przygotowane przez niego potrawy, jak bardzo każda z nich jest podróżą, przygodą, końcem i początkiem. I choć wtedy nie wypowiedział jeszcze żadnych słów, we wzroku Kucharza znalazł potwierdzenie. W następnych dniach słowa się pojawiły – najpierw nieśmiało, pojedyncze; stopniowo nabierały mocy, coraz bardziej były jego słowami, coraz pewniej je wymawiał, coraz radośniej się czuł, gdy widział zrozumienie malujące się na twarzy Kucharza, gdy je wypowiadał. Ten kontakt, ten przepływ, był tak bardzo podobny do uczucia smakowania potrawy. Królewicz zrozumiał, że dopiero teraz smakuje je w całej pełni.

W trzecim roku Królewicz został dopuszczony do pracy z kuchni. Uczył się uważnego dobierania składników, korzystania z wszystkich zmysłów, zatrzymywania się, by bez pośpiechu wąchać, smakować, dotykać, słuchać. Patrząc. Wtedy odkrył, że właściwie tego, co najważniejsze, nauczył się już wcześniej, w czasie pierwszych dwóch lat swojego pobytu. Samo gotowanie było tego zwieńczeniem.

Jak kończy się ta opowieść? Czy Królewicz zostanie Kucharzem? Czy wyruszy w podróż? Czy usłyszy kolejną odpowiedź Dziewczęcia-Ptaka?

Była noc, gdy Królewicz po całym dniu pracy w kuchni wracał do swojej wieży. Księżyc świecił jasno na niebie, a on szedł powoli, czując każdy swój ruch, dotyk piasku na nagich stopach, nocną świeżość powietrza i pohukiwanie sów. „Zostanę tu” – powiedział głośno. Następnego dnia nie zastał w gospodzie Kucharza. Teraz to do niego ludzie zwracali się tym mianem. Czasem tęsknił do rozumiejących oczu i cierplivej powolności przyjaciela. Wtedy siadał w ciszy i zagłębiał się w smaki – te, które pamiętał i te, o których marzył. „Jestem Kucharzem” – powiedział i miękko wszedł przez drzwi do kuchni – był czas na stworzenie nowej potrawy, nowego smaku.





TRZY SKÓRY

Wioletta Szuba

W pewnej wsi, w małym domu, mieszkał Myśliwy wraz z żoną i córką. Myśliwy kochał las, zwierzęta, природę. W lesie był niemal codziennie – obserwował ruchy zwierząt, słuchał szumu drzew, rozmyślał o cyklicznym życiu natury. I polował.

Dom, w którym mieszkali, był pełen myśliwskich trofeów. Liczne poroża wisały na ścianach niemal wszystkich pokoi. Ozdobą były także wypchane bażanty i puszczyki. Między porożami można było dostrzec szable – kły dzika estetycznie oprawione na lakierowanych deszczułkach. Wisały na wielkiej szarej skórze o szczeciniastym włosiu, jakby miały do niej przynależeć. Była to skóra białego dzika – rzadko spotykanego wśród tego gatunku zwierza. Dlatego Myśliwy dumny był z tego trofeum.

Córka myśliwego, kiedy była mała, pytała:

- Tato, dlaczego polujesz na zwierzęta?
- Żebyśmy mieli co jeść – odpowiadał.
- Ale przecież możemy kupić jedzenie.
- Ale dzikie mięso jest lepsze.
- Ale, tato. Kiedy strzelasz do zwierząt, to je boli.
- Dziecko, ty nic nie rozumiesz. Nie wiesz, jakie są prawa świata – mówił tata.
- To wytłumacz mi – prosiła dziewczynka.
- Nie zwracaj mi głowy – odpowiadał niechętnym głosem Myśliwy i odchodził.

Dziewczynka bardzo chciała zrozumieć, jak to jest – kochać las i природę i jednocześnie zabijać zwierzęta. Nie chciała jednak pytać taty, bo nie lubiła, kiedy jej odpowiadał z politowaniem, że nic nie rozumie i odchodzi, machając na nią ręką, by zająć się swoimi ważnymi, dorosłymi sprawami.

Dziewczynka zapytała więc mamy, jak to jest, że tata kocha las i природę, a jednocześnie strzela do zwierząt. Ale mama także nie udzielała odpowiedzi.

- Nie mam teraz czasu. Dlaczego mnie o to pytasz, idź do taty, niech on Ci odpowie – mówiła zniecierpliwiona.

Dziewczynka zatem, nie wiedząc kogo o to zapytać, zatrzymała w sobie pytania, ale one nie chciały się w niej rozpuścić, tylko codziennie odrobinę rosły, niezauważalnie, a do tych pytań przyklejały się rozmaite uczucia. Sklejały się ze sobą i tworzyły jakiś duży kołtun, który nie raz chciał wypłynąć przez gardło, sformułować pytanie i zadać je światu. Ale Dziewczynka wiedziała, że pytać nie może. Nie chciała wzbudzać irytacji i gniewu rodziców.

W pokoju Dziewczynki na podłodze leżały trzy skóry dzików. Miały być ozdobą tego pokoju, który po zdjęciu dywanu w brązowe biszkopty, jak dziewczynka nazywała symetryczne, podłużne motywy, które nie raz porządkowały jej zabawy, będąc na przykład wrotami do zamku, samym zamkiem, czy domem obramowanym płótem, miał zespolic w swoim myśliwskim charakterze pokój dziecka z resztą domu. Dziewczynce przyjemnie było siedzieć i bawić się na dywanie, który sam w sobie był światem. Jednak któregoś dnia dywan został wyniesiony, odkrywając zimny parkiet, a do pokoju weszły skóry dzików upolowanych przez Tatę Myśliwego.

Skóry różnej wielkości, największa, średnia i mała, zostały rozłożone na podłodze, tworząc coś na kształt wysp, pośród których parkiet był oceanem. Dziewczynka skakała z jednej wyspy na drugą, jednak skóry ślizgały się na parkiecie, a dotyk sztywnej i kłującej szczeciny był tak nieprzyjemny, że dziewczynka zaniechała tej zabawy. Skóry nie chciały być przytulne, nie cieszyły oka, nie zachęcały do zabawy, pachniały dzikością i czymś nieznanym. Dziewczynka zaczęła je omijać, duży fragment podłogi, na którym leżały, przestał istnieć. A właściwie zaczął funkcjonować jak jakieś złowrogie, nieprzyjemne terytorium, na które lepiej nie wchodzić.

Pomimo, że dziewczynka starała się omijać wzrokiem skóry, nie zauważać ich, to jednak zamieszkały one w jej głowie. Myślała o nich, a kiedy zasypiała, zawsze je miała przed oczami. Nawet gdy odwracała się i próbowała o nich nie myśleć, skóry były. Fascynujące, odstręczające i powodujące strach. Dziewczynka, żeby odgonić ten strach, wyobrażała sobie, że to rodzina. Mama, tata i dziecko. Robiło jej się wtedy przez chwilę przyjemnie – widziała las, polanę i trzy dziki biegnące przed nią. W świetle słońca wyglądały sympatycznie i niegroźnie, zwłaszcza mały dziczek, próbujący dogonić rodziców. Uśmiechała się wtedy i zasypiała. Śnił jej się las i drzewa, a na nich ptaki, słyszała ich różnorodne głosy, trzaski gałązek i lekki szum liści.

Kiedy budziła się rano, przypatrywała się uważnie skórom. Próbowała odnaleźć w nich te żywe dziki, które widziała we śnie. Robiło jej się wtedy smutno, bo uzmysławiała sobie, że zwierzęta te zostały zabite.

Czasem płakała, szczególnie nad losem małego dziczka. Chciała zapytać Taty Myśliwego, dlaczego strzela do takich dzików – dzieci, ale bardzo się bała. I to pytanie dołączyło w niej do kołtuna innych pytań i uczuć, które w sobie nosiła.

Nieraz w nocy budziła się ze snu, gdy potrzebowała pójść do łazienki, ale myśl o tym, że musi w ciemnym domu przejść przez dzicze wyspy, a potem przez korytarz, w którym nad lustrem siedział puszczyk z szeroko otwartymi, guzikowymi oczami, do złudzenia przypominającymi prawdziwe, była tak straszna, że rezygnowała. Bała się zawołać mamę, ale w końcu zmuszona koniecznością, przywoływała ją, bojąc się też jej zniecierpliwienia i irytacji. Innym razem wybierała między strachem przed niemy gniewem mamy a samodzielną wyprawą przez ciemny las swojego domu. A kiedy sama dotarła tam i z powrotem, była z siebie bardzo dumna, chociaż serce jeszcze długo w niej kołatało ze strachu i przejęcia.

Któregoś dnia, kiedy pomagała tacie w garażu trzymać deski, podawać gwoździe i inne narzędzia, poczuła jak kłęb pytań zaczyna w niej nabrzmiewać. Z wiaderka na tyłach garażu wystawały rogi. Wiedziała, że tata przygotowuje je do powieszenia na ścianie.

- Tato, czy ty zastrzełeś tego jelenia? – zapytała dziewczynka.
- To nie jelen. To koziołek – odpowiedział tata.
- A czy koziołek to młody jelen? Bo ma takie małe rogi
- ciągnęła rozmowę dziewczynka.
- Koziołek to młody kozioł – odparł tata.
- A dlaczego zabija się młode koziołki? – pytała dalej dziewczynka i jednocześnie czuła, jak zaczyna boleć ją brzuch.
- A dlaczego ty ciągle tyle pytasz? Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – zirytował się tata.
- Pytam, bo tego nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego strzelasz do młodego koziołka i dlaczego zastrzełeś małego dziczka – powiedziała dziewczynka głośniejszym głosem, sama zdziwiona, że odważyła się prawie krzyknąć.
- Co ty opowiadasz? – zdenerwował się tata – Nie zastrzełem żadnego dzika?
- Jak to nie! – zapytała, nie rozumiejąc.
- To jest selekcja. Strzela się do starych zwierząt

chorych. Tak jest im lepiej. A poza tym, daj mi spokój. Podaj mi lepiej gwoździe — odparł zniecierpliwiony. — A skąd wiedziałeś, że mały dziczek był chory? — drążyła teraz odważnie dziewczynka, podnosząc głos.

— Daj mi spokój — powiedział tata — bo przez ciebie nie mogę się skupić na robocie. Idź lepiej do matki.

Dziewczynka wybiegła z garażu pełna żalu, że znowu nie dostała odpowiedzi. Tak, tata miał rację. Niczego nie rozumiała. Nie rozumiała tego zabijania zwierząt dla ich dobra. Nie wiedziała, skąd tata wie, co było dobre dla tego małego dziczka. Nikt nie dawał jej odpowiedzi.

Raz na kilka tygodni trzeba było wynieść skóry z pokoju, powiesić na drągu i wytrześć.

Dziewczynka musiała dotknąć zatem kłującej szczeciny, a potem uderzać trzepaczką, by usunąć cały kurz ze skór. Robiła to niechętnie, jej myśli krążyły wokół rodziny dzików, czuła się tak, jakby trzepaczką uderzała żywe zwierzęta.

Najgorzej było zimą, kiedy powieszone na drągu skóry szybko robiły się sztywne od mrozu, niemal zamarały, a przyniesione z powrotem do pokoju wcale nie chciały leżeć płasko na podłodze, tylko długo stały zjeżone, odkształcone od drąga, jakby miały skoczyć do ataku.

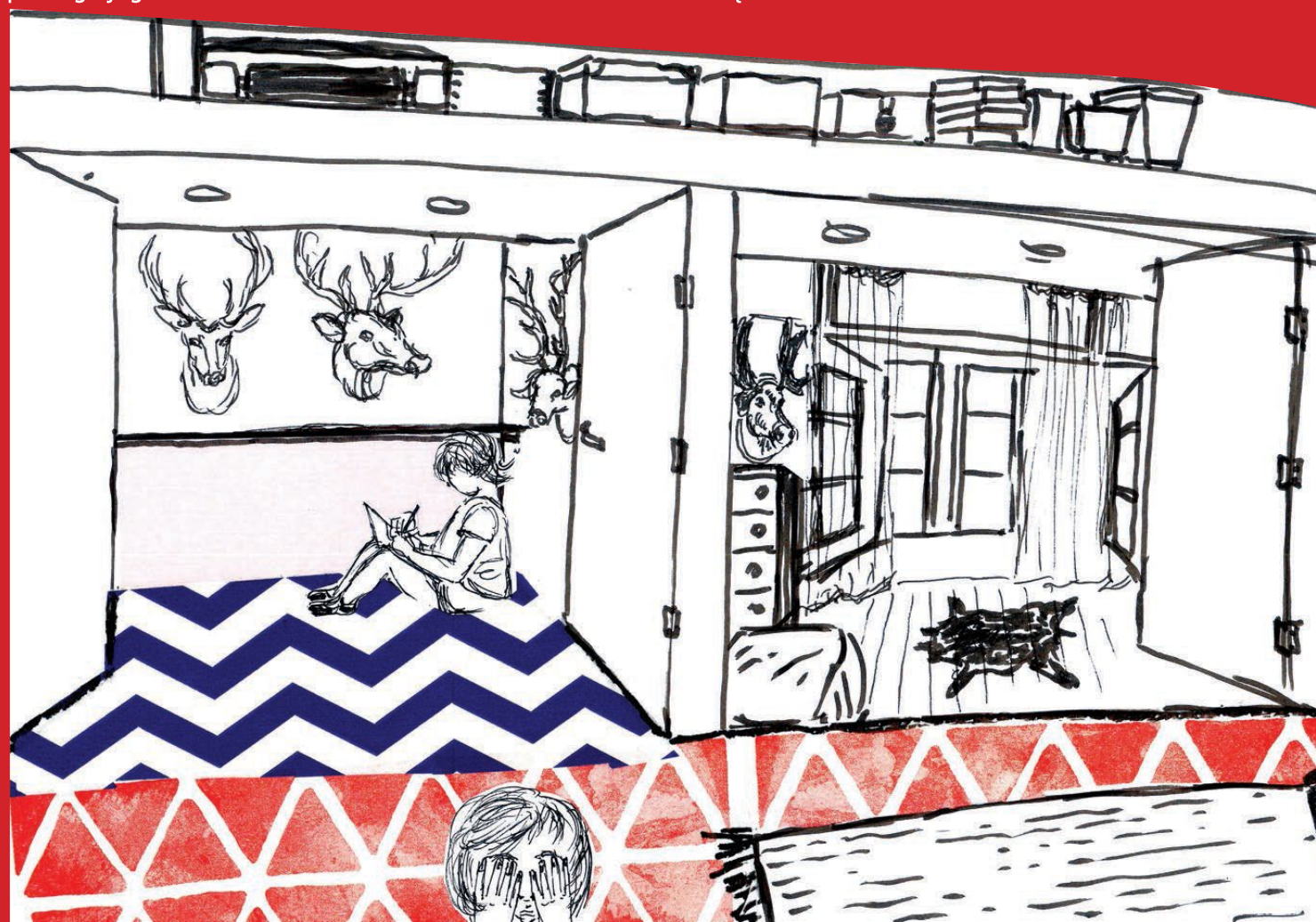
Dziewczynka bała się wtedy, na nic zdało się przypomnienie rodziny dzików i świetlistej polany. Nawet kiedy, zasypiając, odwracała się plecami do skór, ciągle przed oczami widziała je stojące groźnie i z nastroszonym włosiem.

Rano, po przebudzeniu, sprawdzała szybko wzrokiem, czy skóry odtajały i czy leżą z powrotem płasko. Jakkolwiek było, tęskniła za dywanem w biskopty.

Którejś nocy, kiedy księżyc świecił szczególnie mocno, dziewczynka długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, próbując nie patrzeć na wyraźne kontury wszystkich przedmiotów w pokoju. Rozświetlony pokój wyglądał niezwykle, jak na pograniczu dnia i nocy. Patrzyła z pomieszaniem

strachu i fascynacji. Usiłowała nie kierować wzroku na skóry dzików. Ale jakaś siła przyciągała jej spojrzenie właśnie ku nim. Kiedy tak się im przyglądała, nagle spostrzegła, że grzbiet jednej z nich zaczyna się uwypuklać, skóra się poruszyła. Dziewczynka zamarta ze strachu, a jednocześnie nie mogła odebrać wzroku od tego zjawiska. Skóra wybrzuszała się, coraz bardziej nabierając kształtu dzika. To był mały dziczek z jej snu. Dziewczynka rozpoznała go od razu. Diczek poruszał swoim ryjkiem skóry leżące obok, jakby chciał je obudzić, a te w odpowiedzi na to zaczęły się napręzać, rosnąć, nabierać kształtów dorosłych, wielkich dzików. A kiedy stanęły na nogi, trącały małego dziczka ryjami i nawzajem ocierały się o siebie. Wyglądało to tak, jakby cieszyły się, że mogły odżyć na chwilę i być ze sobą blisko.

Dziewczynka patrzyła na to wzruszona, przestała czuć strach, widziała, że dziki nie zwracają na nią uwagi, wiedziała, że nic jej nie zrobią. A one biegły wokół siebie jakby były w lesie, czy na polanie. W pewnym momencie duże dziki wybiegły z pokoju, a mały dziczek został sam, rozglądając się i poruszając się w miejscu niepewnie. Dziewczynce zrobiło się go żal, chciała go pocieszyć, pokazać drogę, którą pobiegli jego rodzice.



Wstała więc, podeszła do niego powoli, żeby go nie wystraszyć. Ale dziczek stał nieruchomo tak, jakby na nią czekał. Dziewczynka pochyliła się i zaczęła go głaskać. Poczuła twarde, szczeciniaste włosie, takie samo jak na skórze leżącej na podłodze, której nie lubiła i nigdy nie chciała dotykać. Ale głaskanie dziczka było przyjemne, nie miało znaczenia, czy jego włosie jest twarde czy miękkie.

Diczek położył się na boku, a dziewczynka obok niego i opierając głowę na jego tułowiu, cały czas go głaskała. Było jej ciepło i bezpiecznie. Czuła też, że i on ma tak samo. Nie wiedziała, kiedy zasnęła.

Rano obudził ją zdziwiony głos mamy:

— Dlaczego śpisz na skórze? Leżałaś tu całą noc? — spytała mama.

Dziewczynka ocknęła się i zorientowała, że leży na najmniejszej skórze dzika. Natychmiast przypomniała sobie, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Spojrzała na skórę i pogłaskała ją z czułością tak, jak głaskała małego dziczka. Wstała i uśmiechnęła się do siebie.

— Mamo, to chyba przez ten księżyc! W nocy wszystkie skóry ożyły i zamieniły się w... — zaczęła dziewczynka, ale nagle przerwała, gdy zobaczyła spojrzenie mamy.

— Zamieniły się w co? — zapytała z powątpiewaniem mama.

— Nie, nic — zrezygnowała dziewczynka. Wiedziała, że pewnie mam jej nie uwierzy.

— Tylko mi się śniło — powiedziała.

Mijały lata. Dziewczynka rosła, aż w końcu stała się Dziewczyną. Na niewypowiedziane pytania często odpowiadała sobie sama, a tym, na które nie znajdowała odpowiedzi, pozwalała zostać tajemnicą, którą na pewno kiedyś odkryje. Co tydzień wynosiła skóry dzików i trzepała je, a potem siadała na swojej ulubionej, najmniejszej, i czytała książki, albo po prostu myślała. Z czasem przestała myśleć o skórach, jak o rodzinie dzików. Stały się dla niej po prostu skórami szczeciniastymi i pełnymi wieloletniego kurzu, którego nigdy nie dało się wytrześć do końca.

Pewnego dnia, kiedy słońce świeciło tak mocno, że w całym pokoju widać było wyraźnie jak unosi się kurz, Dziewczyna złożyła skóry, by je wytrześć. Lecz kiedy miała z powrotem je wnieść do pokoju, zawahała się. Spojrzała na pustą podłogę, pełną nowych obietnic i zawróciła. Zdecydowanym krokiem ruszyła do garażu, a stamtąd schodami na strych.

Położyła skóry między inne, mocno zakurzone rzeczy, jeszcze raz dotknęła włosia najmniejszej z nich i wróciła do pokoju.

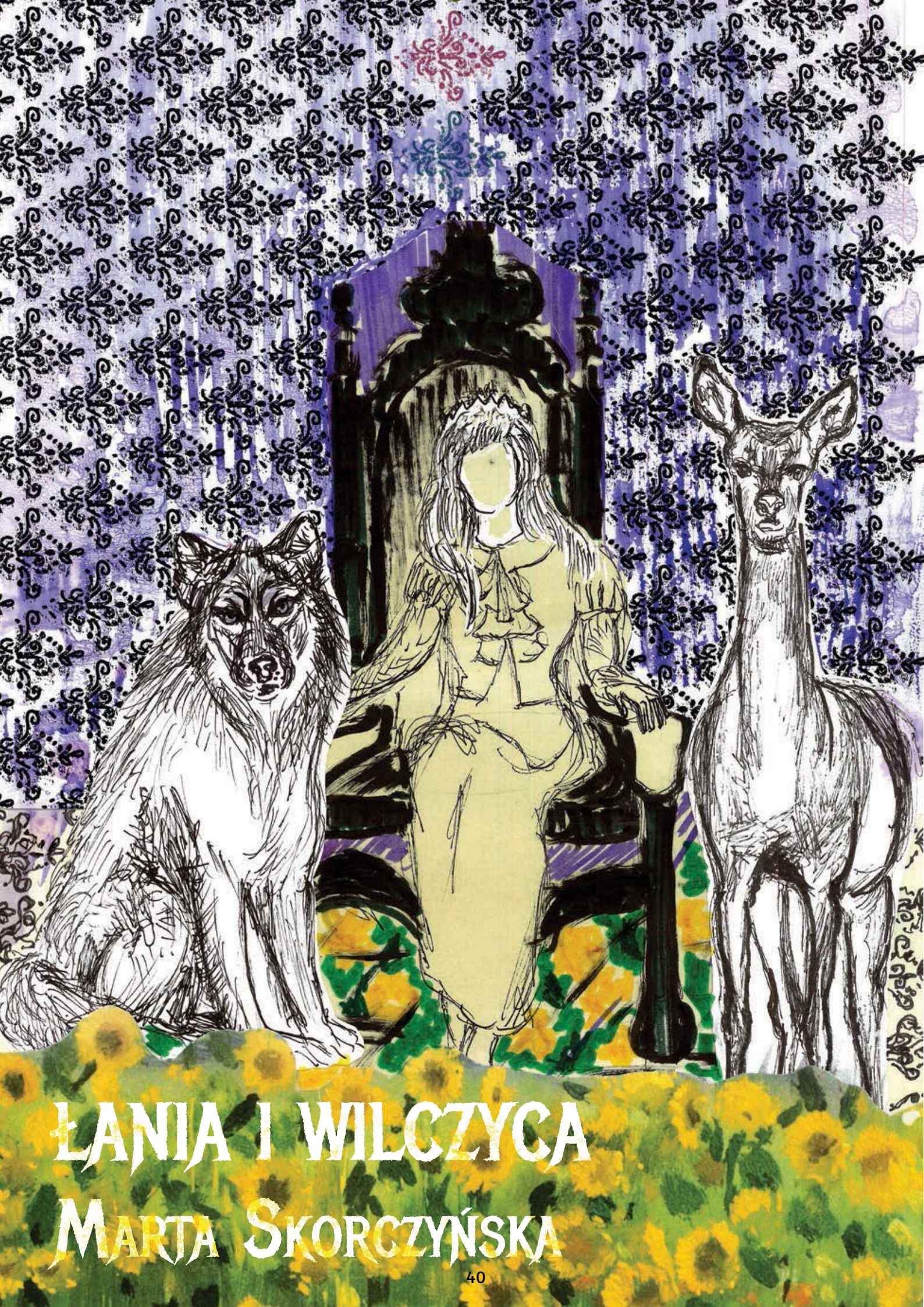
Kurz unosił się nadal, słońce oświetlało podłogę, a Dziewczyna spoglądała na jej bezmiar, który wyglądał tak, jakby zapraszał ją do tańca. Poczuła szeroką radość w środku, odetchnęła głęboko, a z tym oddechem wydostały się niewypowiedziane dotąd pytania i uczucia.

Kiedy Tata Myśliwy wrócił do domu, zauważył, że na podłodze nie ma skór.

— Gdzie są skóry? — zapytał.

— Wyniosłam je na strych — odpowiedziała Dziewczyna spokojnie

— były już bardzo zakurzone. Teraz będzie mi lepiej oddychać.



Łania i Wilczyca

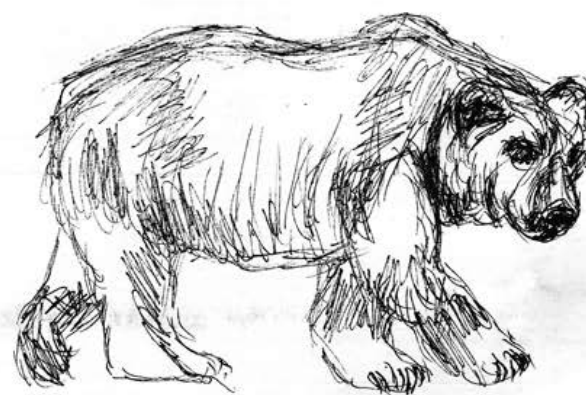
Marta Skorczyńska

W Szmaragdowym Królestwie był las, a w lesie tym od lat toczył się spór pomiędzy Łanią i Wilczycą o to, która z nich jest najmądrzejszym zwierzęciem. Łania potrafiła korzystać z obfitości lasu, kiedy była na to pora, a także schronić się w bezpiecznym miejscu w czasie zagrożenia. Wilczyca zaś stawiała z niebezpieczeństwem twarzą w twarz i potrafiła odstraszyć wroga.

Królowa i król, którzy władali także lasem, spodziewali się dziecka. Miał to być najpiękniejszy, najradośniejszy i najdzielniejszy królewicz, jakiego widziano w całej historii Szmaragdowego Królestwa. Jednak pewnej nocy zły duch zabrał go do siebie zanim się narodził. Królowa i król stracili swoje dziecko i całą nadzieję.

Król odjechał w swoje rodzinne strony, aby Knabrac sił po tragedii, która się wydarzyła. Królowa natomiast zaszyła się w ciemnym pokoju i nie chciała wychodzić z łóżka. Podupała na zdrowiu i dręczył ją ogromny ból, który powodował ataki furii. W tym stanie podejmowała decyzje, które niepodobne były do rządów dawnej królowej. Poczuła też, że i jej życiu coś zagraża. Nie ufała nikomu do tego stopnia, że rozkazała złapać i uwięzić wszystkie zwierzęta z lasu, aby nie mogły jej zaatakować.

W lesie zawrzało na te wieści. Zwierzęta postanowiły wystać najmądrzejsze pośród swojej społeczności, aby uzdrowić Królową i przywrócić dawny spokój. Pierwsza wyruszyła Łania, a gdy dotarła na dwór królewski, zaoferowała, że pomoże Królowej ukoić jej ból. Została wpuszczona.



- Co masz mi do zaoferowania? Jeżeli nie przyniesie mi to ukojenia, każę cię zamknąć w najgłębszym lochu mego zamku!

- Możesz schronić się w moim cieniu i wtulić w moje miękkie ciało. Stąd możesz obserwować życie na zamku i w lesie, aż będziesz gotowa z niego skorzystać.

Czas mijał, a tron pozostawał pusty. Pojawili się krewni Królowej, którzy przymierzali się, by na nim zasiąść, jednak nie mieli oni zamiarów dobrych dla królestwa, porastającego go lasu, ani zamieszkujących go zwierząt.

- Królowo, jesteśmy już długo razem. Czas wyjść i zająć się Szmaragdowym Królestwem, zanim władzę nad nim przejmą twoi okrutni krewni.

- Chcę zostać sama! Boję się wyjść z twojego schronienia. Twoje ciepło koi mój ból.

Tymczasem polowania trwały i więziono coraz więcej zwierząt. W lesie zarządzono wysłanie kolejnego mądrego doradcy do Królowej. Wilczyca wyruszyła silna i zdeterminowana. Gdy dotarła na dwór Królowej zaoferowała, że pomoże jej ograniczyć wpływ krewnych i przywróci jej tron. Została wpuszczona.

- Co masz mi do zaoferowania? Jeżeli sprowadzisz na mnie zagrożenie i znów poczuję ból, strącę cię do lochu na zawsze!

- Królowo, będę szła przed tobą. Gdy nadejdzie zagrożenie, wystawię kły i osłonię cię, aż wróg odejdzie. Teraz musisz wezwać swoich krewnych, aby pokazać im, kto tu rządzi.

Gdy nadeszło spotkanie, Królowa stanęła z wilczycą u boku, która leżała spokojnie niczym łagodny piesek. Krewni nie zauważyli jej z początku. Otoczyli Królową i poczęli zbliżać się do tronu.

- Droga królowo, twoje zdrowie jest teraz najważniejsze. Nie martw się o swój tron. My się nim zajmujemy. Możesz wrócić do swojej komnaty.

Gdy jeden z nich już wskakiwał na tron, Wilczyca poderwała się i wyprzedziła go.

Stanęła duża i silna, szczerząc kły i warcząc nieprzyjemnie. Zuchwały krewny cofnął się, lekko dygocząc.

- Królowo, nie chcesz nas chyba skrzywdzić? To zwierzęta są groźne! Czekają tylko, by zaatakować ciebie i resztę ludzi na twoim dworze. Spójrz na tę bestię! - wskazał Wilczycę.

- Masz rację, ale nie chcę krzywdzić ani ludzi, ani zwierząt! Wilczyca pilnuje mojego tronu i będzie tak długo warczeć, aż opuścicie Szmaragdowe Królestwo. Jeżeli wbrew mojej woli przekroczycie granicę, może zaatakować, lecz nigdy sama się na was nie porwie. To wbrew jej naturze.

Królowa poczuła znów swoją siłę i stanowczość. Dzięki Wilczycy nauczyła się też, jak zaznaczać granice swojego królestwa, jednocześnie będąc łaskawą i troskliwą dla innych. Odwołała rozkazy polowania na zwierzęta, a krewni zostali odprawieni z granic jej królestwa. Królowa ponownie zasiadła na swoim własnym tronie.

Gdy ochłoneły emocje, wysprzątano zamek królewski po tak długim czasie zaniedbania i Królowa powróciła do dawnych nawyków. Wezwała do siebie Łanię i Wilczycę, by podziękować im za całą mądrość, którą się z nią podzieliły. Dzięki nim doceniła jeszcze bardziej swój las i nie zamierzała mu się już przeciwstawiać. Miała dla nich jeszcze jedno zadanie. Poprosiła, aby sprowadziły do domu Króla. Wysłała je obie z wiadomością, że Szmaragdowe Królestwo potrzebuje też jego, a ona czeka z utęsknieniem.

Gdy Król powrócił, nie minęło wiele czasu zanim do lasu dotarły wiadomości, że Królowa spodziewa się kolejnego dziecka. Las świętował. Łania i Wilczyca zostały odznaczone za swoją mądrość, siłę i troskę o cały las. Od tej pory obie nosiły miano doradczyń Królowej. Bywały na jej dworze obie równie często, a odwieczny spór między nimi odszedł w niepamięć.



Ale Jarosław Kaczyński może wejść na cmentarz w czasie pandemii, a zwykły Kowalski – nie. Prezydent Andrzej Duda może w czasie epidemii spotykać się z grupami obywateli i takie zgromadzenia są legalne, ale w których biorą udział przestępcy i przestępcy z pomocy państwa są już nielegalne. Premier może w sytuacjach nie przestrzegać rygorów sanitarnych. Gdzie równość?

– Polym okiem widzimy nierówność wobec prawa. Hasła takie, jak „twój ból jest lepszy niż mój”, „twoje zgromadzenie jest ważniejsze niż moje”, „twoja impreza muzyczna jest ważniejsza niż moja”, stają się, niestety, naszą codziennością.

Aby zasada równości wobec prawa była respektowana, musi być prawidłowo funkcjonować system egzekwowania i odpowiedzialności wobec osób, które naruszają obowiązujące normy prawne. Antyprawnym jest odpowiedzialny za stosowanie sankcji środków prawnym powinien stosować je w sposób jednakowy wobec wszystkich. Władza nie może za to samo zachowanie niedługo karać, a innym nie. Wówczas możemy mieć obywateli, którzy czują niepewność, czy coś wolno czy nie wolno. Przecież widzimy, że władza raz na coś przysmyka oko, a innym razem już nie. Reakcje policji czy administracji nie mogą być uznaniowe, dowolne. Muszą opierać na prawie jednakowym dla wszystkich.

Ale aby mówić o równości wobec prawa, władza musi mieć także poczucie zwyyczajnej przynajmniej. Należałoby się spodziewać, że jeśli ktoś stanowi prawo, będzie świecił przykładem i pokazywał, jak bardzo czuje się odpowiedzialny za reguły, które wprowadza. Niestety, brakuje elementarnej przynajmniej. Brakuje reakcji na czyste naruszenie prawa: służby nie decydują się na nałożenie kar w stosunku do osób, które są wobec nich przełożone.

Czy obywatelom przysługuje obecnie prawo do zgromadzeń?

– Rozporządzeniem Rady Ministrów nie można wprowadzić w czasie epidemii cał-

kowitego zakazu zgromadzeń. Prawo do organizacji zgromadzeń jest zagwarantowane w konstytucji i europejskiej konwencji praw człowieka. Całkowity zakaz narusza istotę tego prawa. W normalnych warunkach oceną konstytucyjności takiego rozporządzenia mógłby się zająć Trybunał Konstytucyjny. Czeski trybunał konstytucyjny zakwestionował ograniczenia, np. dotyczące wolności przemieszczania się w czasie epidemii. Ale w polskich warunkach taka kontrola jest tylko teoretycznie możliwa.

Dla tego jedyną metodą, aby dowiedzieć się, że ograniczenia są niekonstytucyjne, jest ścieżka sądowa. Dwa tygodnie temu, gdy organizowano marsz przedsiębiorców w stolicy, władze miasta zawiadomiły organizatorów, że ze względu na rozporządzenie Rady Ministrów nie mogą wpisać zgromadzenia do rejestru. Nie podjęły formalnej decyzji o zakazie zgromadzenia. Gdybyśmy zgromadzenie, wbrew prawom sądu, przystąpiliśmy do organizowania. Sprawa dobiegła aż do warszawskiego sądu apelacyjnego. Sąd nie mógł uchylić oświadczenia o wpisie zgromadzenia do rejestru, bo nie uznał powiadomienia za decyzję administracyjną. Ale wskazał, że niezarejestrowanie zgromadzenia nie oznacza jego zakazu. Zachowanie urzędu miasta można rozpatrywać w kategoriach bezczynności – bo powinien był albo zakazać zgromadzenia, albo wpisać je do rejestru. Sąd przyznał nam rację, że zakaz zgromadzeń wprowadzony rozporządzeniem Rady Ministrów budzi istotne wątpliwości konstytucyjne, chociażby z punktu widzenia zasady proporcjonalności.

Ale policja dalej twierdzi, że zgromadzenia są nielegalne.

– Dopiero kształtuje się linia orzecznicza. Jestem pewien, że wcześniej czy później dojdziemy do takiego momentu, że sądy zaczną orzekać o całkowitym zakazie zgromadzeń oparty tylko na rozporządzeniu jest nielegalny. Jeśli dojdzie do kolejnych podobnych postępowań, RPO będzie do nich przystępował.

Pod pretekstem udziału w nielegalnym zgromadzeniu policja legitymuje prote-

stowanie pokojowej demonstracji nie jest rolą policji, nawet jeśli protest nie został poprawnie zarejestrowany

stujących przedsiębiorców, dokonuje zatrzymań, wywozi uczestników na komisarjat poza Warszawę. Jak pan to ocenia?

– Jednoznacznie negatywnie. To, co ostatnio obserwowaliśmy na ulicach Warszawy, jest absolutnie niepojęte. Uważam, że jeśli dochodzi do zgromadzeń, to rolą policji nie jest sięganie po przemoc. Nie jest jej rolą tłumienie demonstracji. Jeśli protest jest pokojowy, nawet jeśli nie został poprawnie zarejestrowany, należy podjąć wszelkie możliwe środki, aby takie zgromadzenie rozwiązać w sposób pokojowy i nakłonić uczestników do rozeserowania się. Niepokoi, że policja stosuje instytucję zatrzymania preventywnych. I że tak często sięga do środków przymusu, gdy okoliczności tego nie wymagają. To wskazuje na to, że chodzi nie o bezpieczeństwo i zdrowie obywateli w czasie epidemii, ale o to, aby nie dopuścić do demonstrowania własnych przekonań w sferze publicznej. Biuro RPO nieustannie zwraca się z pismami do komend w, domagając się wyjaśnień, że policja jest chętna do współpracy.

Wszystka demonstracja samotnie pod Trójką z banerem „PiS i ry mordują twory” została wyegzekwowana, a potem zatrzymana i wywieziona na komisarjat. Kobiety protestujące pod Sądem Najwyższym były legitymowane, a potem dostały kary od sanepidu po 10 tys. zł za niezachowanie odległości. Czy te reakcje mieszczą się w granicach prawa?

– Nie. To absurdałne zachowania. Zajmujemy się wieloma takimi przypadkami, także

sprawą rowerzystki. Jak można legitymować, a potem zatrzymać jedną osobę pod zarzutem organizowania nielegalnego zgromadzenia? Przecież to nielogiczne. To już w czasie epidemii nie można stać z transparentem pod Trójką czy Sądem Najwyższym? Jak ma związek karanie takich osób ze zwalczaniem epidemii?

Nie mam wątpliwości, że bezpodstawne legitymowanie, zatrzymanie, mandaty, nakładanie kar przez sanepid stały się formą represji wobec ludzi, którzy śmiać mieć inne poglądy niż obecna władza.

Ta władza szczególnie nie lubi, gdy obywatele się z niej śmieją.

– I to jest najbardziej przerażające. Że nawet ekspresja artystyczna i satyryczna spotyka się z reakcjami służb państwowych. Biuro RPO zajmuje się m.in. sprawą członków 14. Brygady Obrony, a także artystami, którzy zorganizowali „Klasyk” i „Hajzer” i nie wyzywali, tylko piewali. W 1968 roku. Artysty przeszli przez więzienie. Uczestnicy w masach, w dniach, w których odstępach od siebie nie było więcej niż 1 metr, wyglądający jak „krowy” i „świnie”. Zostali na wniosek policji ukarani przez sanepid karą 10 tys. zł.

Policja celowo kieruje wnioski o kary do sanepidu, bo przy nakładaniu mandatów wykroczeniowych obywatele mają prostą drogę do sądu. A w przypadku kary administracyjnej ta ścieżka się wydłuża. Kara jest nakładana przez sanepid wyłącznie na podstawie notatki policji, bez ustalenia stanu faktycznego, bez prawa wypowiedzenia się osoby zainteresowanej. Do tego kara sanepidu jest nakładana pod rygorem natychmiastowej wykonalności. Dlatego przystępujemy do takich spraw i już udało się skłonić sanepid w postępowaniu odwoławczym do cofnięcia tych kar nałożonych na uczestników „Klasyki” i „Hajzera”. Sanepid umorzył postępowanie. To daje nadzieję. Zobaczymy, czy sanepid tak postąpił tylko w odniesieniu do tej głośnej sprawy, czy też będzie miało to konsekwencje dla innych podobnych postępowań.

ciągłem transportowane są do mycia na gorąco, gdzie pozbawiane są większości etykiet (o ile producent zastosował właściwy materiał do ich wytworzenia i klej do przymocowania).

Resztki ze strumienia ogolonych butelek - jak kawałki szkła czy puszki

systemu finansowania

Na polski rynek do obrotu wprowadzanych jest bowiem 220 tys. ton PET rocznie, przy czym recyklinguje się ich zaledwie 37,4 proc. Co się dzieje z pozostałymi butelkami?

cja - kwituje.

Zapomniano przy tym o zasadzie „zanieczyszczający płaci” i związanym z nią systemie finansowania selektywnej zbiórki - bez nowego modelu finansowania selektywnej zbiórki nie poradzimy sobie

czenie odpowiedzialności producenta wprowadzającego opakowania na rynek. Szczególnie te najtrudniejsze, czyli plastikowe i wielomateriałowe. Powinien ponosić część kosztów pozwalających na ich skuteczne odzyskanie - dodał. o

trafiają na holenderskie konto - tam spółka pobiera 25 proc. prowizji - i dopiero wtedy zwraca partnerom pozostałe 75 proc. Dlatego - wg taksówkarzy - jedna czwarta zarobionych pieniędzy nie jest opodatkowana w Polsce. o

Firma Black Red White S.A. z siedzibą w 23-400 Bilgoraj, ul. Krzeszowska 63, ogłasza sprzedaż następujących nieruchomości wchodzących w skład majątku Grupy Kapitałowej Black Red White:

1. Bartoszyce, ul. Warszawska 22a
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 147/44 i 147/47 o pow. 32 289 m².
Księga wieczysta OL1Y/00006722/8

2. Pajęczno, ul. Zamojska 104
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 25, 622/26 i 622/29 o pow. 1 829 m².
Księga wieczysta ZA1B/00068063/8, ZA1B/00068064/8

3. Łódź, ul. Łódzka 280
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 12 o pow. 19 48 m².
Księga wieczysta LU1/00217906/3

4. Łódź, ul. Łódzka 280
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 12 o pow. 19 48 m².
Księga wieczysta LU1/00217906/3

5. Łódź, ul. Łódzka 280
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 12 o pow. 19 48 m².
Księga wieczysta LU1/00217906/3

6. Łódź, ul. Łódzka 280
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 12 o pow. 19 48 m².
Księga wieczysta LU1/00217906/3

7. Łódź, ul. Łódzka 280
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 12 o pow. 19 48 m².
Księga wieczysta LU1/00217906/3

8. Łódź, ul. Łódzka 280
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 12 o pow. 19 48 m².
Księga wieczysta LU1/00217906/3

9. Łódź, ul. Łódzka 280
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 12 o pow. 19 48 m².
Księga wieczysta LU1/00217906/3

10. Łódź, ul. Łódzka 280
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 12 o pow. 19 48 m².
Księga wieczysta LU1/00217906/3

11. Łódź, ul. Łódzka 280
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 12 o pow. 19 48 m².
Księga wieczysta LU1/00217906/3

Grunt omy klasy "B" - pow. 3 158 m².
Księga wieczysta: PR1L/00038499/5

7. Dachy, ul. Lwowska 47
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 1990/20 o pow. 1 829 m².
Księga wieczysta: ZA1B/00068063/8, ZA1B/00068064/8

Pewnego dnia w rodzinie szklarza urodziła się dziewczynka. Jeszcze kiedy jej matka była w ciąży, narzekała, że nie może pracować tak jak dawniej i być blisko męża, który nigdy nie przestawał tworzyć nowych szklanych form. Gdy dziecko wreszcie się urodziło, rodzice chcieli szybko wziąć je na pomocnika w warsztacie, bo pracy nigdy nie brakowało. Rodzina wykonywała piękne wazony i misy dla samej królowej! Niektóre z nich przechodziły długi proces obróbki, a kiedy efekt końcowy nie był doskonały, ojciec zbijał je i zaczynał od początku. Tym sposobem każde zamówienie przygotowywane było z wielkim wysiłkiem i poświęceniem, a wszystko to, by zadowolić królową.

Na dziewczynkę wołali Pestka. Jej skóra była cała pomarszczona i twarda, co powodowało również, że twarz wyglądała na pokrzywioną. Wyglądała jak pestka moreli. Sąsiedzi mówili, że to przejdzie, lecz mijały lata, a ona wciąż była brzydka. Tak brzydka, że rodzice nie mogli na nią patrzeć.

Ojciec postanowił zrobić dla córki szklany skafander, który miał sprawić, że będzie jej łatwiej żyć pośród innych ludzi, którzy - jak się obawiał - mogliby wytykać ją palcami.

- Przecież szkło się zaraz zbije! - Powiedziała matka. Odlat więc na skafandrze co kilka centymetrów grubsze warstwy szkła, które miały amortyzować ewentualne upadki i potrącenia. Wyglądały jak kolce na całym ciecie. „Dobrze” - pomyślał ojciec - „odstraszą złych ludzi, którzy mogliby ją zaatakować”.

Szklany skafander był trochę za duży na dziewczynę, ale po jego założeniu zobaczyła w końcu uśmiech na twarzy mamy, a sąsiedzi przestali wytykać ją palcami. Postanowiła już go nie zdejmować. Niestety szybko okazało się, że kolce może i chronią przed z biciem skafandra, ale też ranią innych. Próby zabawy i zbliżania się do innych dzieci kończyły się bójką i płaczem wszystkich dookoła. Pestka czuła się samotna.

PESTKA

MARTA SKORCZYŃSKA

Jednak wołała to od sytuacji, w której rodzice unikali jej widoku.

Po kilku tygodniach noszenia skafandra ojciec powiedział córce, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeżeli wyjedzie. Tutaj nikt nie chciał już mieć z nią do czynienia, a do pracy w warsztacie też się nie nadawała, bo jej skafander mógł się łatwo stopić przy ogniu, na którym wypalano szkło. Tego pamiętnego dnia Pestka wyruszyła w drogę z myślą, że znajdzie sposób, by zastąpić skafander czymś innym. Marzyła, że kiedyś wróci do domu bez niego i nikt już nie będzie się jej bał.

Dziewczyna nie wiedziała, dokąd pójść. Słyszała, że jest takie miejsce, gdzie kończy się tęcza. Ludzie zanoszą tam swoje prośby o szczęśliwe życie. Szybko natrafiła na pielgrzymów zmierzających w tamtą stronę i postanowiła przyłączyć się do wyprawy. Droga, jak się okazało, wiodła przez lasy, bagna i pustynne piaski. W trakcie tej mozolnej wędrówki cały szklany skafander Pestki obrósł grubą warstwą błota. Nie wystawały już nawet kolce. Czasem tylko, gdy ktoś zbliżył się do bardzo, poczuł ich klucie, ale wtedy dziewczyna odsuwała się na bezpieczną odległość i mogła spokojnie iść dalej.

W jednym z lasów Pestka niechcący zniszczyła sieć Pajęczycy, która zamiast się zezłościć spokojnie utkała nową sieć wokół skafandra. Tym sposobem została z Pestką w podróży. Dziewczyna nie była z tego zadowolona, ale nie umiała się jej pozbyć. Z początku bała się trochę, że wejdzie do środka skafandra i ją ugryzie. Przed tym przestrzegała ją kiedyś mama. Z czasem zaczęła ją ignorować i przyzwyczaiła się do jej obecności.

Po dłuższym czasie wędrówki Pestka zapomniała, dokąd zmierza i dlaczego musiała opuścić dom rodzinny. Wiedziała tylko, że podąża za ludźmi, którzy ją otaczali i opowiadali sobie, co robią, kiedy dotrą już do celu - kiedy w końcu będą szczęśliwi.

19. Słupsk, ul. Madalińskiego 1
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działka nr 5/2 (do podziału) o powierzchni 3 000 m².
Księga wieczysta: SL1S/00015726/2

20. Słupsk 42 k. Olsztyna
Nieruchomość zabudowana.
Obiekty prod.-magazynowe o pow. 11 333 m².
Działki nr 12/13, 167/14, 167/15, 167/16, 167/17, 167/18, 168/9 o pow. 41 135 m².
Księga wieczysta: GL1D/00015771/6, GL1D/00015772/6

21. Słupsk, ul. Przeworskiej 18a
Nieruchomość zabudowana.
Obiekty prod.-magazynowe o pow. 13 125 m².
Działki nr 37/7, 37/8, 37/9 i 37/14 o pow. 26 433 m².
Księga wieczysta: SZ1T/00098578/8, SZ1T/00098579/8, SZ1T/00098580/4, SZ1T/00098581/4

22. Słupsk, ul. Narzędziowa 2
Nieruchomość zabudowana.
Obiekty prod.-magazynowe o pow. 6 991 m².
Działki nr 5/67 o powierzchni 11 063 m².
Księga wieczysta: LU1I/00217906/3

23. Słupsk, ul. Żyńskiego 3
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 1/1, 880/1, 1546/1 i 1548/1 o pow. 11 258 m².
Księga wieczysta: GL1Z/00020773/8, GL1Z/00020774/8, GL1Z/00020775/8

24. Słupsk, ul. Żyńskiego 3
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 1/1, 880/1, 1546/1 i 1548/1 o pow. 11 258 m².
Księga wieczysta: GL1Z/00020773/8, GL1Z/00020774/8, GL1Z/00020775/8

25. Słupsk, ul. Żyńskiego 3
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 1/1, 880/1, 1546/1 i 1548/1 o pow. 11 258 m².
Księga wieczysta: GL1Z/00020773/8, GL1Z/00020774/8, GL1Z/00020775/8

26. Słupsk, ul. Żyńskiego 3
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 1/1, 880/1, 1546/1 i 1548/1 o pow. 11 258 m².
Księga wieczysta: GL1Z/00020773/8, GL1Z/00020774/8, GL1Z/00020775/8

27. Słupsk, ul. Żyńskiego 3
Nieruchomość gruntowa niezabudowana.
Działki nr 1/1, 880/1, 1546/1 i 1548/1 o pow. 11 258 m².
Księga wieczysta: GL1Z/00020773/8, GL1Z/00020774/8, GL1Z/00020775/8

Pewnego dnia na horyzoncie poja-
wiło się jezioro. Było je widać poniżej
skarpy, do której brzegu Pestka właśnie
doszła. W słońcu mienily się kolorowe
czepki pływających osób, słysząc było
plusk wody. Dziewczyna zapragnęła też
mieć taki piękny czepek i wskoczyć do
wody razem z innymi. Wszyscy wyda-
wali się tacy radośni. Jednak po chwili
przypomniała sobie, że ma skafander.

Przecież nie wejdzie w nim do wody!
Będzie zajmować za dużo miejsca... Do
tego jest strasznie brudna, zanieczyści
całe jezioro. Postanowiła, że nie będzie
się do niego zbliżać. Chciała się cofnąć
i zawrócić, ale przez brudne szkło nie
zauważyła pielgrzymów, którzy pędzili
naprzód, by znaleźć ochłodę w wodzie.
Ktoś ją popchnął i Pestka niefortunnie
spadła ze skarpy w dół, oddalając się
od jeziora. Upadek spowodował, że
stłukł się cały skafander! Widocznie
podróż nie posłużyła szklanej powłó-
ce, która, choć narosła dodatkowymi
warstwami, jednocześnie stała się
bardziej krucha.

Pestka zasmuciła się straszliwie
i rozplakała. Co teraz zrobi? Nie
umiała już poruszać się bez swojej
szklanej zbroi. Nagle usłyszała głos:
„W końcu pozbyłaś się tego paskudz-
stwa! Mówiłam ci tyle razy, żebyś je
zdjęła, a ja utkałabym ci jakąś zgrab-
ną, lekką sukienkę. Mogłabyś wtedy
wchodzić na drzewa, leżeć na ziemi,
wejść do jeziora... Jak się cieszę! Czy
ty mnie w ogóle słyszałaś przez tę
warstwę szkła i brudu?!”.

Pestka rozejrzała się dookoła, zdziwio-
na, aż w końcu zauważyła Pajęczycę
siedzącą na jej ramieniu. To jej słowa
słyszała! Dawno o niej zapomniata,
a teraz uświadomiła sobie, że to jedyna
istota, która towarzyszyła jej nieprze-
rwanie przez całą drogę. Po chwili
Pestka zapytała nieśmiało:

- Czy mogłabyś mi utkać kolorowy
czepek, w którym będę mogła pływać? -
- Czego byś chciała? Mów głośniej,
dziewczyno! Czepek? Zaraz zabieram
się do roboty. Kiedy skończę, będziesz
w końcu podobna do siebie!
Pajęczycza zabrała się do pracy i już
po kilkunastu minutach oznajmiła:
„Gotowe!”.

Pestka nie była pewna, jak wygląda, lecz
postanowiła zaufać Pajęczycy i ruszyć
w stronę jeziora. Jeżeli ludzie zaczną się
śmiać na jej widok, albo wytkną ją palca-
mi, ucieknie szybko do lasu. Wskoczyła
od razu pod wodę, żeby nikt nie zdążył
się jej zbyt dokładnie przyjrzeć. To było
wspaniałe uczucie! W wodzie jej ciało
zaczęło się rozluźniać. Mogła wyprosto-
wać wszystkie jego części, poruszać nimi
w dowolną stronę. Nic już nie ograni-
czało jej ruchów! Wreszcie poczuła się
gotowa, by wynurzyć się na powierzchnię.
Zapomniała nawet, że zobaczą ją inni.
Wtedy spostrzegła na tafli wody swoje
odbicie. Nie wierzyła własnym oczom!
Zamiast obrazu pomarszczonej skóry
i nieprzyjemnego grymasu twarzy ujrziała
piękną kobietę — nie dziewczynę. Nosząc
skafander, Pestka nie zauważyła nawet,
kiedy dorosła. Przepętniło ją zdziwienie.
Nagle zobaczyła, że ludzie w kolorowych
czepkach uśmiechają się do niej, zapra-
szają do zabawy, pytają, skąd ma taki
piękny strój. Pestka oddała się zabawie
i rozmowom, za którymi tęskniła przez
cały czas noszenia skafandra.

W świetle słońca odbijającego się od
wody zobaczyła potyskujący odwłok
Pajęczycy.
- Błyszczysz jak prawdziwy skarb!
- powiedziała.
- Cieszę się, że to w końcu zauważyłaś! -
odrzekła Pajęczycza. - Już czas wrócić do
domu, nie sądzisz? Jesteśmy gotowe.
- Zgadza się — odpowiedziała Pestka.

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

Małguzka, 502 906 532

</



ZAKŁĘTY W NIEDŹWIEDZIA

Marta Skorczyńska

W lesie za górami żył mężczyzna zaklęty w niedźwiedzia. Gdy się urodził jego matka powiedziała: „Chcę, abyś był silny i otaczał mnie ciepłem”. Nie wiedziała, że słowa wypowiedziane do noworodka w pierwszej godzinie jego życia działają jak zaklęcie. Wyrażając swoje pragnienie, skazała go na życie w ciele niedźwiedzia. Chłopiec z każdym kolejnym rokiem rósł, upodabniając się coraz bardziej do zwierzęcia. W końcu, jeszcze zanim wszedł w młodzieńcze lata, rodzice zaprowadzili go do lasu i tam porzucili, nie chcąc wychowywać pół-człowieka, pół-niedźwiedzia.

Mijały lata. W dniu, w którym jako człowiek uzyskałby wiek dorosłości, poczuł swoją niedolę jeszcze mocniej. Leżał nocą pod drzewem, wpatrzony w księżyc i zadawał sobie pytanie: „Czy kiedyś jeszcze będę mężczyzną?”. Wtem dobiegł go szelest z lasu i stanął przed nim starzec.

– Pozwól, że się o ciebie oprę na chwilę. Zmęczyła mnie wędrówka – powiedział. – Widzę, że jesteś nieszczęśliwy – kontynuował. Mam moc, by podarować ci to, czego zechcesz.

– Chcę być mężczyzną.

– Niech tak będzie. Jeżeli inni dostrzegą w tobie mężczyznę i powiedzą to na głos trzy razy, zostaniesz nim na zawsze. W przeciwnym razie wrócisz w to samo miejsce. Oby ci się powiodło! – rzucił na końcu i odszedł.

Rano mężczyzna zaklęty w niedźwiedzia obudził się w ludzkim ciele. Ucieszyło go to i postanowił jak najszybciej opuścić las. Ruszył drogą, która prowadziła do zamku królowej. Przejrzał się w taflę jeziora, gdzie zobaczył swoje nowe, umięśnione, silne ciało. „Z taką posturą każdy nazwie mnie prawdziwym mężczyzną” – pomyślał – „a słowa królowej już na pewno cofną każde zaklęcie!”.

Gdy doszedł do jej zamku, zaproponował, że zrobi wszystko, by udowodnić swoje męstwo. Królowa przyjęła tę ofertę i dawała mu kolejne zadania. Mężczyzna wykonywał je z całą siłą i całą odwagą, jakie posiadał, jednak królowa nigdy nie była w pełni zadowolona.

– To zadanie wykonałby każdy chłopiec! Nie pokazałeś jeszcze, że jesteś mężczyzną!

MARTA SKORCZYŃSKA

Jednym z zadań było ścięcie drzewa z lasu nieopodal zamku. Mężczyzna poszedł tam wyposażony w topór. Zamachnął się i wykonał pierwszy cios. Wnet usłyszał głos: „Nie rób tego!”

- Kto to powiedział? - zapytał zaskoczony.

- Jestem kobietą zaklętą w drzewo - usłyszał głos dobywający się ze splątanych korzeni. - Chcesz ściąć jego pień, który w rzeczywistości jest pasmem moich włosów, razem z gałęziami oraz pokrywającymi je liśćmi i pąkami kwiatów. Ja jestem jego korzeniem.

- Królowa poleciła mi to zrobić - powiedział z wahaniem mężczyzna.

- To fałszywa królowa. Ten las pełen jest kobiet takich jak ja. Każda z nas mogła zostać królową, lecz zła czarownica, która dzierży teraz berło, wszystkie dziewczynki z królewskiej rodziny zakopuje w tej ziemi. W ten sposób utrzymuje swoje rządy. Z rozpaczy rosną nam włosy, które wyrastają z ziemi i wyglądają jak drzewa.

Mężczyzna, gdy usłyszał tę opowieść, poczuł, że brak mu sił, by dalej trzymać topór. Z sił opadło całe jego ciało. Usiadł pod drzewem, które jeszcze niedawno zamierzał ściąć. Przypomniała mu się jego własna historia i to, jak zupełnie nie miał kontroli nad własnym losem. Zapłakał, a jego łzy spłynęły na ziemię i wsiąknęły w nią. Kobieta odezwała się:

- Gdy królestwem rządziła jeszcze moja matka, mężczyźni potrafili się wzruszać i płakali nad niesprawiedliwością tego świata. Poczułam łzy, które spłynęły teraz do moich korzeni. Musisz być zatem prawdziwym mężczyzną, jeżeli to ty je uroniłeś.

- Dziękuję ci za te słowa, wiele dla mnie znaczą. Nie chcę już dłużej służyć królowej. Nie zetnę twojego drzewa.

- Przecistawiając się fałszowi złej czarownicy po raz kolejny udowadniasz, że jesteś mężczyzną.

- Co mogę zrobić, aby ci pomóc?

- Przychodź tu codziennie i obserwuj, jak rozkwitam i jak rosną moje owoce. Jeżeli uda ci się zachować pierwszy z nich zanim rozniosą je zwierzęta, zjedz go z miłością, a ja będę mogła wyjść z drzewa.

Mężczyzna oddał topór królowej i opuścił zamek. Ona szybko o nim zapomniała, gdyż inni czekali już w kolejce, aby się jej przypodobać. W zamian poświęcił się teraz wizytom w lesie, pielęgnacji drzewa, rozmowom z kobietą w nim uwięzioną i oczekiwaniu na owoce. Gdy te się pojawiły, poczekał, aż pierwszy z nich spadnie, a wtedy zjadł go z miłością i szacunkiem dla kobiety.

Następnego dnia, gdy przyszedł, pień drzewa był rozarty niczym wielka dziupla, a w niej spała kobieta. Mężczyzna zbudził ją. Ta, dotykając jego dłoni, powiedziała:

- Dziękuję ci za twoje miłość i szacunek. Odzyskałam swoją godność. Po raz trzeci udowodniłeś, że jesteś prawdziwym mężczyzną.

W ten sposób odczarowała go na zawsze. Zamieszkali razem w dziupli po dawnym drzewie, gdzie każdego kolejnego roku świętowali odzyskanie swoich ludzkich postaci.



PUSTE

MARTA



SKORCZYŃSKA

PEŁNE

PEŁNE i PUSTE

MARTA SKORCZYŃSKA

Król i Królowa martwili się o Królową. Wydawało się, że gubiła części siebie. W miejscach, gdzie było serce, nerka, stopa, widać było tylko czarne dziury. Zamknęli ją więc w pustelni na Wysokiej Skale, aby nie pogubiła całej siebie. Król wezwał lekarza, aby poradził, jak uzdrowić Królową.

- Potrzebuje męża, który wyrówna jej braki. To jedyna metoda. Sama może niedługo cała zniknąć.
- Dobrze. Znajdę jej więc męża, który ją uratuje! - odparł Król z nadzieją.

Ogłoszono więc wszem i wobec, że Królowa zostanie wydana za mąż za śmiałka, który uratuje ją przed zniknięciem.

Pierwszy kandydat był pięknym, zadbanym mężczyzną. Przechwalał się, że przy nim nikt nie zauważy braków Królowy, gdyż oślepi wszystkich swoim blaskiem! Królowa, wpatrzona w jego błyszczące oczy, odrzekła, że jeżeli słowa mężczyzny się spełnią, zostanie jego żoną. Wyprawiono więc bal na Wysokiej Skale, podczas którego miała rozegrać się próba złożonej przez niego obietnicy.

Mężczyzna, zgodnie z tym co mówił, świecił przed innymi gośćmi, a jego blask był tym silniejszy, im bardziej mógł się odbić od wartościowych kamieni i złota, które nosili jego rozmówcy. Za nim stała Królowa, czekając, czy ktoś zauważy jej czarne dziury. W pewnym momencie, kandydat na jej męża odwrócił się, ujrzał Królową i syknął oburzony:

- Twoje czarne dziury nie odbijają mojego światła! Jak mam ci pomóc w takim stanie?

Na te słowa wścibski wzrok gości powędrował wprost na Królową. Ludzie zaczęli szeptać pomiędzy sobą, podśmiewając się półgębkiem. Mężczyzna w końcu wypowiedział głośno i donośnie, że rezygnuje i opuścił Wysoką Skatę. Reszta gości została odprawiona, a bal się zakończył.

Poszukiwania śmiałka trwały dalej. Następny zgłosił się mężczyzna majątny i zaradny. Zaoferował, że przyniesie jej nowe serce, nerkę i stopę, aby była znów kompletna. Królowa zgodziła się, aby podarował jej to, o czym mówił, a jeżeli sposób ten ją uzdrowi, zostanie jego żoną. Wyobrażała już sobie swoje nowe wygodne ciało pełne ekscytacji.

Mężczyzna przynosił część po części. Jednak z każdym nowym fragmentem ciała, którym Królowa wypełniała swoje czarne dziury, pojawiał się nowy brak w innym miejscu. I tak w czarnej pustce zniknęło jelito cienkie i pępek, płuco lewe, a potem też prawa łopatka na plecach.
- Poddaję się! - powiedział w końcu mężczyzna i odszedł na zawsze z Wysokiej Skaty.

Poszukiwania śmiałka, który uratuje Królową, nie ustawały. W końcu pojawił się mężczyzna owiany gęstą mgłą. Zapewnił Królową, że przy nim nie musi się martwić o swoje braki, ponieważ on ich nie zobaczy. Mgła otaczała jego głowę i dostrzegał tylko to, co miał tuż przed nosem. Królowa zgodziła się przyjąć go na próbę i ucieszyła, że on nie miał zamiaru jej zmieniać. Jednak dni mijały, a czarne dziury w jej ciele zaczęły się powiększać. Kiedy mówiła o tym zaniepokojona mężczyźnie, ten odpowiadał, że nic nie dostrzegł, więc

nie powinna się tym przejmować. Królowa przestała z nim w końcu rozmawiać o czymkolwiek, aż poprosiła go o odejście z Wysokiej Skąty.

Siedziała znów sama, a śmiazków, by ją uzdrowić nie pozostało już wielu. Którejś nocy pomyślała, że włoży gruby płaszcz i kaptur i zejdzie z Wysokiej Skąty do ludzi. Może sama znajdzie dla siebie lekarstwo. Musiała to zrobić po kryjomu, aby Król i Królowa nie dowiedzieli się o jej zuchwałej decyzji.

Następnego dnia była już na dole długiej drabiny prowadzącej w dolinę, gotowa poznać inny świat poza Wysoką Skatą i królewskim zamkiem. Długo szła samotnie przez pola i doliny, aż zgłodniała okrutnie. Robiło się ciemno. Na drodze napotkała chatę, w której paliło się światło. Zapukała, a drzwi otworzył młody mężczyzna i zapytał, kim jest i czego potrzebuje.

- Zabłądziłam. Jestem daleko od domu. Czy podzielisz się ze mną swoim posiłkiem?

Mężczyzna wpuścił ją do środka. Usiedli przy stole i zjedli razem rozgrzewającą zupę. Królowa siedziała już z odsoniętą twarzą, lecz teraz zrobiło jej się tak ciepło, że musiała zdjąć swój cały płaszcz. Było ciemno i pomyślała, że może mężczyzna nie zauważy jej braków.

- Odnoszę wrażenie, że gdzieś już ciebie widziałem – powiedział do niej.

Zmęczona Królowa poczuła teraz jego przenikliwy wzrok, wystraszyła się i zemdląta.

Mężczyzna podszedł od razu, by zająć się swoim niespodziewanym gościem, który leżał teraz na podłodze i potrzebował jego pomocy. Chcąc podnieść dziewczynę, zauważył puste miejsca tam, gdzie powinny być różne części jej ciała. Zaciekawito go to. Odważnie wyciągnął dłoń, aby dotknąć pierwszego miejsca, skąd spozierała czerń... Zaskoczony odkrył, że w dotyku miejsce to jest miękkie i ciepłe, wypełnione ciałem, a czarna dziura jest jedynie złudzeniem! Dotknął kolejnego miejsca. Okrył je swoją dłonią. Jego odczucie potwierdziło się. Począł dotykać kolejnych miejsc, aż kobieta się przebudziła.

- Co robisz?! – powiedziała gwałtownie przestraszonym głosem.

- Zaciekawito mnie twoje ciało. Wydawało się okryte czarnymi plamami, które sprawiały wrażenie pustej otchłani, lecz okazało się, że to tylko złudzenie. Wyczułem w nich twoje ciało, kiedy go dotknąłem. Sprawdzam, ile jest w tobie życia i jak mogę się tobą zaopiekować.

Z każdym dotknięciem mężczyzny Królowa czuła impuls z wnętrza siebie, który ją rozgrzewał. Wstała o własnych siłach i podeszła do okna, w którym zobaczyła swoje odbicie. Ujrzała całą siebie, nie było tam już braków.

- Jestem Królową. Od lat chorowałam na pogłębiającą się we mnie pustkę. Szukałam uzdrowienia. Dziękuję, że mi pomogłeś! – powiedziała do mężczyzny z wdzięcznością.

- Ten, kto mnie uzdrowił miał zostać moim mężem – dodała – Czy chciałbyś tego?

- Królowo, to jest moja chata, o którą dbam i którą kocham. Zostanę twoim mężem, jeżeli zamieszkas tu ze mną i pozwolisz mi dalej ciekawić się twoim ciałem i tobą.

- Mieszkałam na Wysokiej Skale, gdzie żaden śmiatek nie zdołał mnie uzdrowić. Zrobił to twój dotyk w tej chacie. Zgadzam się!

Królowa wróciła do zamku Króla i Królowej, by powiadomić ich o swoim uzdrowieniu i planach małżeńskich. Król nie mógł uwierzyć w jej słowa, lecz gdy dłużej jej się przyjrzał, dostrzegł zmianę. Jej skóra była teraz bardziej błyszcząca, twarz rozświetlona i nie brakowało jej już niczego. Czarne dziury zniknęły. Królowa ucieszyła się, że jej córka znów jest zdrowa. Oboje rodzice musieli się zgodzić z jej decyzją, ponieważ taka była królewska obietnica – ręka Królowy dla śmiatka, który ją uratuje. Choć ciężko było im myśleć o tym, że Królowa opuszcza Wysoką Skatę, która wydawała im się jedynym bezpiecznym miejscem, pozwolili jej zamieszkać w dolinie, w chacie ze swoim mężem. Królowa co jakiś czas wspinała się na szczyt, aby ich odwiedzić, ale w dolinie czuła się dużo lepiej i nie bała się, że zgubi to, co dla niej ważne w pustce. Dotyk jej męża mógł ją zawsze uzdrowić.







DROGA

ALDONA ŻEJMO-KUDELSKA

Widać było jedynie błękitne niebo i białe chmurki. Pierzaste obłoczki powoli sunęce po łagodnym, bezwietrznym niebie. Po chwili wyłoniło się drzewo. Było stare i rosochate. Stare drzewo żyło. Barwne kwiaty wyrastały bezpośrednio z jego pnia. Były przepiękne, kolorowe, pachnące. Wyciągały główki do słońca, grzejąc się w popołudniowym cieple. Ślimak uwielbiał na nie patrzeć. Fascynowały go. Pociągały.

„Kwiaty są sobą. Są piękne. Dostojne i wspaniałe. Ach, jakbym chciał być kwiatem...! Życie kwiatów jest na pewno tak kolorowe jak one same...”. I pewnego dnia postanowił wyruszyć w świat, do Krainy Kwiatów. Podpełzł do kwiatów i zapytał:

- Kwiaty, kwiaty, jesteście tak piękne, gdzie jest wasz dom, gdzie mam go szukać?

Kwiaty odpowiedziały:

- Nasz dom jest bardzo daleko stąd.

Znalazłyśmy go przypadkiem. Same nie wiemy jak. Jeśli chcesz znaleźć nasz dom, piękny, pachnący dom, musisz iść hen hen dalej, przed siebie.

I ślimak popętlął.

Sunął i sunął przez pola i lasy, noce i dni. Czasem powoli, rozglądając się wokół, a czasem w pędzie, z kropelkami potu między czułkami. Był jednak nieustępliwy.

„Dom kwiatów to mój dom. Żywy i radosny. Wielobarwny i piękny. Nie chcę być tylko ślimakiem” -myślał. Sunął przez krainy innych ślimaków, spokojnych i uważnych, przez krainy upiórów, krainy strzelistych wież i szybkich decyzji, niewielu wzruszeń. Sunął przez krainy samotnych podróżników, sunął przez krainy domowego zacisza i ciasta na stole. I zaczynał tracić nadzieję. Coraz częściej przystawał i spuszczał głowę. Coraz częściej oczy zachodziły mu łzami, które szybko połykał, nie przyznając się przed

nikim — a już na pewno nie przed samym sobą — że płacze, bo jest mu smutno, bo nie wierzy, że znajdzie dom kwiatów. Swoją dom. Pewnego dnia obudził się i nie przesunął się ani o milimetr. I kolejnego dnia — ani o milimetr. W nocy popatrzył w gwiazdy, myśląc: „To koniec, nie ruszę się stąd ani o milimetr”. Kiedy obudził się następnego dnia, zobaczył przed sobą uśmiechniętą żabę.

- Co tu robisz? - zapytała.

- Sunę do Krainy Kwiatów. Tam jest mój prawdziwy dom - odpowiedział Ślimak.

- A gdzie jest Kraina Kwiatów? - zainteresowała się żaba?

- Właśnie nie wiem. Idę przed siebie. Nie ma go na żadnej mapie.

Nikt nie wie dokładnie, gdzie on jest. Kwiaty powiedziały mi, żebyś szedł przed siebie.

- Kwiaty?

- Tak. Piękne. Pachnące. Cudowne kwiaty!

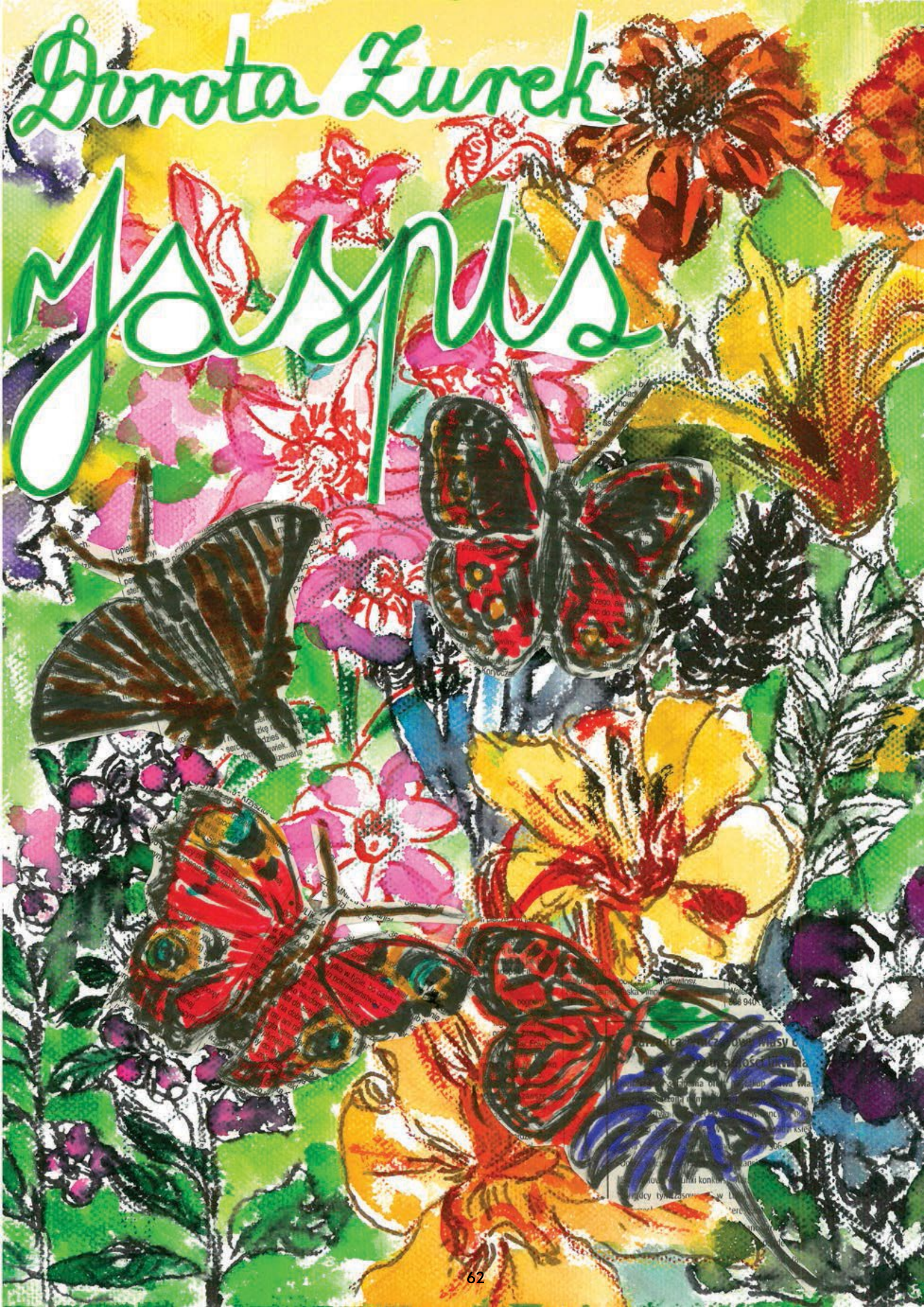
- Kwiaty zawsze tak mówią. Mi też tak kiedyś powiedziały. I też przywędrowałam tu. I rozejrzałam się.... i tutaj znalazłam dom - powiedziała żaba.

- Tu? Tutaj nie ma kwiatów....To nie jest Kraina Kwiatów - wysapał oburzony ślimak.

- Oczywiście, że to nie jest Kraina Kwiatów. Są tu muszki, stawy i lilie wodne. To jest mój dom. Dom Żaby. I wtedy ślimak zrozumiał. Zrozumiał, że swój dom ma na grzbiecie. Zrozumiał, że jego dom jest mały, bezpieczny i ciepły. Jest jego. I pomyślał o drzewie. Jego drzewie. Starym, ukwieconym drzewie. Zrozumiał, że ten widok i ta mała skorupka — to jego dom.

- Aha. Na mnie już czas. Dziękuję, żabo. Do widzenia.

I wyruszył do siebie. W stronę ukwieconego drzewa.



Dorota Żurek

Jaspis

Jaspis

Dorota Żurek

W pewnym Królestwie żył chłopiec o imieniu Jaspis. Mieszkał w zamku razem z rodzicami. Był ich jedynym dzieckiem. Jego ulubionym miejscem była ogromna biblioteka, w której książki poukładane były na półkach aż po sufit. Aby dotrzeć do tych położonych najwyżej trzeba było użyć przesuwanej drabiny. Niektóre księgi kusiły bogato zdobionymi okładkami, inne skromnie czekały, aż ktoś zdmuchnie z nich kurz. Kiedy nie musiał uczyć się jak władać bronią czy jeździć konno spędzał tam każdą wolną chwilę.

Król i Królowa kochali swego syna i martwili się o niego, gdyż nie interesował się sprawami Królestwa. Znał języki, miał ogromną wiedzę, ale nie umiał z tego korzystać.

— Żono, niepokoję się o przyszłość naszej krainy — rzekł któregoś dnia Król, gdy ich syn powoli zbliżał się do pełnoletności. — Jak Jaspis zdoła rządzić mądrze Królestwem, kiedy mnie zabraknie?

— Nasz syn ma dobre serce. Jest wrażliwym młodzieńcem i wiem, że kiedy przyjdzie jego czas okaże się godnym następcą. Choć coraz bardziej niepokoi mnie to, że stroni od ludzi — powiedziała z trwogą w głosie Królowa. Żadne z nich nie wiedziało, jak mu pomóc.

Jaspis dostrzegał niepokój rodziców, ale nie potrafił zapytać czym się tak trapią. Nie sądził, że to on jest tego przyczyną, gdyż był im posłuszny. Może rzeczywiście zbyt dużo czasu spędzał na zgłębianiu mądrości z różnych dziedzin, ale przecież nikomu nie wyrządzał tym krzywdy.

Wieczorem, z kolejną lekturą w dłoni usadowił się wygodnie wśród miękkich poduszek w okiennym wykuszu. Czytał tak długo, aż knot świecy wypalił się do końca i zasnął. Poczuł jak unosi się nad zamkiem niczym

ptak. Okrążył go parokrotnie przyglądając się jego mieszkańcom i pracy, którą wykonywali. Dostrzegł ogrodników pielęgnujących kwiaty, garncarzy przygotowujących nowe naczynia do kuchni, rycerzy ćwiczących do turnieju. Patrzył na tę krzątaninę, jakby widział ją pierwszy raz. Nagle jego wzrok skupił się na kolorowych skrzydłach motyla, który pojawił się w jego pobliżu. Mimo, że przeglądał wiele ilustrowanych ksiąg to takiego okazu dotąd nie spotkał. Zaintrygowany podążył za nim. Zostawił za sobą znajomą dolinę i zbliżył się do gęstego lasu. Motyl sfrunął na skąpaną w słońcu polanę i zaczął spijać nektar z kwiatów. Później krążył nad źródłem. Jaspis schował się za wierzbą, aby go nie przestraszyć i móc swobodnie obserwować. Zdziwił się niezmiernie, gdy w krystalicznie czystej wodzie zamiast kolorowych skrzydeł zobaczył twarz dziewczyny. Delikatne, jasne lico otaczały pukle rudych włosów. Jej radosne spojrzenie przeniknęło do jego duszy. Zaskoczony tym odkryciem zaplątał się w długie gałęzie drzewa i z pluskiem wpadł do wody. Otuliła go z każdej strony i nie chciała puścić. Nie mógł złapać tchu i wtedy się obudził. Przerażony rozejrzał się dookoła nie wiedząc właściwie gdzie się znajduje. Ogromny księżyc oświeślał srebrnym blaskiem zamkową bibliotekę. Jaspis nie mógł zasnąć, wciąż mając pod powiekami obraz nieznajomej. Podjął decyzję i nie mógł doczekać się ranka, aby porozmawiać z rodzicami.

— Ojcze, matko! — rzekł przy śniadaniu. — Wybaczcie mi śmiałość, ale muszę opuścić zamek.

Król i Królowa spojrzeli na siebie zaskoczeni i nie mogli wydobyć z siebie żadnego słowa. Chłopiec z przejęciem opowiedział swój sen. Nadal nie mógł uwierzyć, że zdobył się na odwagę, by odnaleźć dziewczynę-motyła. Już nic nie mogło odwieźć go od tego pomysłu. Jaspis osiodłał swojego karego konia. Nie wiedział, co przyniesie podróż, ale był przekonany, że poradzi sobie z wyzwaniami, które przygotował dla niego los. Przypomniawszy sobie dziadka, którego uwielbiał i jedną z ich wspólnych

wypraw. Miał wtedy kilka lat i wspinał się z nim na najwyższą górę, z której roztaczał się widok na całą krainę. Dziadek znał każdą ścieżkę, każde drzewo i każdy kamień w Królestwie. Mówił, żeby być uważnym na to, co dzieje się wokół nie tracąc celu z oczu. Chłopiec nie ustępował mu kroku, mimo że opadał z sił. Kiedy byli już blisko, choć Królewicz nie dostrzegał jeszcze szczytu, dziadek zatrzymał się.

— Tutaj się rozdzielimy! — powiedział stanowczym tonem, ale z jego oczu emanowała łagodność.

— Musisz znaleźć własną drogę na tę górę, ja będę tam na ciebie czekał — rzekł to z taką pewnością, że wątpliwości Jaspisa uleciały. Zamknął oczy i zaczął wsłuchiwać się w otaczającą przyrodę. Poczuł wspólny oddech lasu, zwierząt, skał i zaczął chłonać ten niezwykle rytm. Zobaczył drogę, choć kiedy otworzył oczy, nie dostrzegł żadnej ścieżki. Po prostu wiedział, którędy ma podążać. Podróż była coraz trudniejsza. Ostre skały kaleczyły jego ciało i z każdym krokiem brakowało mu powietrza, ale czuł, że jest już blisko. Usłyszał trzask palącego się ogniska. „Dziadek!” — pomyślał i po chwili wpatrywał się jak zaczarowany w swój dom, swoją dolinę. Poczuł dumę. Dziadek podszedł do niego, położył rękę na jego ramieniu i razem chłonęli niecodzienny widok. Potem w milczeniu usiedli przy ogniu...

Zamyślenia wyrwał Jaspisa głos matki. Pożegnał się i ruszył przed siebie, zostawiając za sobą ludzi, którzy go kochali. Jechał kilka dni i nocy, ale nikt nie słyszał o niezwykłym motylu, którego widział we śnie. Tak dotarł do niewielkiego państewka, które słynęło kiedyś z wybitnych ogrodników. Ich kunszt doceniano nawet w odległych krainach za morzami. Wszyscy wyjechali i nie miał już kto pielęgnować tutejszych roślin. Zaczęły one zawłaszczać pałac, zostawiając coraz mniej przestrzeni dla zamieszkujących go ludzi. Władcy tego miejsca coraz bardziej dziczeli, odsuwając się od swojego ludu, i tak zapanował chaos.

Jaspis postanowił im pomóc. Znał rośliny i sposoby ich pielęgnacji, ale tylko z książek. To go jednak nie zraziło. Ciężko pracował przekazując jednocześnie swoją wiedzę Pani i Panu, którzy okazali się pojętnymi uczniami. Razem z nimi i pozostałymi mieszkańcami porządkowali pałac oraz jego otoczenie. Jakież było zdziwienie młodego Królewicza, gdy na jednej ze ścian budynku odkrył mozaikę, obrazek z mnóstwa małych, wielobarwnych kamyków, który przedstawiał najpiękniejsze kwiaty z ogrodu, a wśród nich uwagę przykuwał niezwykle motyl. Ten z jego snu. Pani opowiedziała mu historię o tym, jak za sprawą pojawienia się skrzydlatego gościa ogród zyskał nowe oblicze. Kwiaty rosły jeszcze większe i piękniejsze. Ich woń budziła radość i ukojenie. Mieniły się w świetle księżyca srebrzystą poświatą, jakby wokół pałacu zapalono tysiące lampionów. To miejsce przywracało chęci do życia i dawało siłę. Kwiaty, które sadzono z tych nasion miały identyczne właściwości. Pewnego dnia motyl więcej się nie pojawił, ale czar ogrodu nie prysnął, natomiast zaczęli znikać ogrodnicy, rozchwytywani przez innych monarchów. Kiedy wokół ich zamków roślinność wprowadzała odwiedzających w zachwyt, pałac w Państewku coraz bardziej zaczął przypominać dziką dżunglę i szczęście też pomału odwracało się od tego miejsca. Dzięki Jaspisowi wróciło z jeszcze większą siłą.

Królewicz ruszył w dalszą drogę. Motyl coraz bardziej go intrygował. Przez kolejne tygodnie wędrówki przyglądał się jak żyją ludzie, jakie mają troski i radości. Dotarł w końcu do przedziwnego miejsca. Ogromne drzewa stykały się bezlistnymi gałęziami, a znaczna część ich korzeni tworzyła nad ziemią koronkową płataninę. Jaspis czuł strach pomieszany z ciekawością.

Nie słyszał o tym miejscu ani dobrych, ani złych opowieści, ale umysł zaczął podsuwać mu obrazy potwornych stworzeń zamieszkujących tajemniczą przestrzeń. Nawet nie wiedział, kiedy zrobił pierwszy krok i labirynt go pochłonał. Gdy się odwrócił zobaczył tylko bluszcz oplatający powyginane korzenie. Las zamknął za nim swoje drzwi. Panował półmrok,

do którego Jaspis szybko przywykł. Szedł, choć nie był pewien, czy zmierza naprzód, czy kręci się w koło, ponieważ promienie słoneczne ledwo tutaj docierały. Nie dostrzegał zwierząt, ale wiedział o ich obecności, ponieważ słyszał piskliwe nawoływania.

Zmęczony wędrówką znalazł odpowiednie miejsce na posiłek i odpoczynek. Z płaszcza rozpiętego między gałęziami zrobił posłanie i strudzony zasnął. Wokół niego panował mrok, rozświetlany przez punkciki światła, które zaczęły się układać w znajomy kształt. Usłyszał cichy szelest, a potem skrzydło motyla musnęło delikatnie jego policzek. Obejrzał się, ale kształt już zdążył rozplynać się w powietrzu. Zamknął oczy, a kiedy znów je otworzył, wokół niego znów panoszyła się ciemność. Zaczął rozglądać się nie wiedząc, czy to nadal sen. Wytężał wzrok i dostrzegł, że niektóre korzenie na pewnej wysokości emitują srebrzystą poświatę. Zwinął płaszcz i zaczął podążać za tym zagadkowym zjawiskiem. Nie wiedział, jak długa droga była za nim, ani ile czasu zajmie mu wędrówka do krańca lasu. Poczuł się bardzo samotny i zaczął wątpić w sens swoich poszukiwań. W tym miejscu jego wiedza na nic się nie zdała. Po raz pierwszy pomyślał o rodzicach. Czy są zdrowi? Przypomniwał sobie ich zatroskane twarze, gdy po raz kolejny wymykał się do zamkowej biblioteki. W jego głowie kłębiło się coraz więcej pytań.

Nagle poczuł, że zapada się pod ziemię. Znalazł się w ciasnym korytarzu, z jednej strony nachylonym lekko w dół. Panował w nim półmrok dzięki setkom małych świetlików, które przemieszczały się w różnych kierunkach. Miał wrażenie, jakby mu się przyglądały. Kiedy wstał, poleciały w głąb, tak że niemal stracił je z oczu, ale za moment znów wróciły. Podążył za nimi.

Tunel wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Opadał i wznosił się, rozszerzał i zwężał. Jaspis dotarł w końcu do ogromnej jaskini. Miała kształt koła i odchodziło od niej wiele dróg w różnych kierunkach, tworząc jakby promienie słoneczne. Po środku leżał ogromny głaz,

który z każdej strony obsiadły migające owady. Wyglądał jak korona giganta. Domyślił się, że te przejścia to podziemne koryta, którymi kiedyś płynęła woda. Nie wiedział tylko, w jaki sposób pozbyć się ważącej kilka ton skały. Zaczął odgarniać rękoma drobne kamienie i ziemię wokół, ale nie dało to żadnego efektu.

Królewicz usiadł oparty o głaz i zamyślił się. Zaczęło mu wirować w głowie. Przymknął zmęczone oczy. Miał ze sobą nasiona ogromnych kwiatów, ich korzenie mogły rozepchnąć głaz, ale nie rosły tak szybko. Przypomniwał sobie Dziadka, który za pomocą dziwnych kamyków umiał burzyć mury. Teraz by mu się przydały. Zaczął gorączkowo przeszukiwać ukrytą wśród ubrania sakwę i wyjął z niej niewielkich rozmiarów srebrne pudełko. Miał nadzieję, że to wystarczy. Kiedy rzucił pierwszą kulkę kamień nieznacznie drgnął i pojawiło się na nim jedynie drobne pęknięcie. Za trzecim razem popękał na całej powierzchni. Ze szczelin zaczęła powoli sączyć się woda i skała zaczęła się kruszyć. Jaspis obserwował sytuację ze znacznej odległości, gdy siła żywiołu rozsadziła głaz. Woda zaczęła zalewać jaskinię. Królewicz pobiegł jednym z korytarzy, lecz wkrótce fala go dogoniła i uniosła ze sobą. Walczył o każdy oddech, bardzo chciał żyć. W końcu jednak poddał się ogromnej sile.

Kiedy się ocknął, na powierzchni była już noc. Zobaczył nad sobą zwieszające się gałęzie wierzby. Na piersiach czuł nieznaczny ucisk i jednocześnie przyjemne ciepło rozchodzące się po całym ciele. Zobaczył skrzące skrzydła motyla i ponownie stracił przytomność.

Jaspis obudził się z ciężkim oddechem. Na jego klatce piersiowej spoczywała głowa rudowłosej dziewczyny. Niczego nie rozumiał. Gdzie podział się motyl? Królewicz poruszył się bardzo ostrożnie, by nie obudzić nieznajomej. Kiedy chciał usiąść, ona drgnęła i otworzyła oczy. Wpatrywali się w siebie nieufnie. Jaspis zdał sobie sprawę, że jego sen stał się rzeczywistością, Dziewczyna zaś nie mogła uwierzyć, że czar rzucony na nią przez Pana Nocnego Nieba został zdjęty.



Rozpalili ogień i otuleni ciepłem ogniska wysłuchali swoich opowieści. Senija wspominała, że nie mogła sobie znaleźć miejsca na nocnym nieboskłonie. Ciągłe wędrowała, poznawała nowe gwiazdozbiory, przez co żeglarze tracili orientację. Miała szczęście, że nie doprowadziła do żadnej tragedii. Rozgniewany Pan Nocnego Nieba strącił ją z firmamentu. Przybrała postać motyla i miała zostać wśród ludzi do czasu, aż będzie gotowa pokochać i bezinteresownie oddać za kogoś życie.

Ukarana gwiazda potrafiła przenikać do snów. Nie sądziła, że ktoś popatrzy na nią sercem i odkryje jej sekret. Gdy zobaczyła nieprzytomnego Jaspisa nie miała wątpliwości, że chce go uratować. Myślała, że potem od razu trafi na wyznaczone dla niej miejsce na niebie. Jednak Pan

Nocnego Nieba sprawił, że przybrała postać dziewczyny, do chwili pojawienia się pierwszych promieni słonecznych.

Królewicz nie rozumiał dlaczego los ich ze sobą zetknął, by za chwilę rozdzielić. Miłość sprawiła jednak, że zrozumieli swoje przeznaczenie. Jaspis został Królem, mądrym i wrażliwym na potrzeby swojego ludu. Ilekroć miał wątpliwości jaką decyzję podjąć, patrzył w nocne niebo szukając najpiękniejszej gwiazdy mrugającej srebrzysto-fioletową poświatą. Była stale w tym samym miejscu i to dawało mu siłę. Żeglarze, dokądkolwiek płynęli, wiedzieli, że Senija doprowadzi ich szczęśliwie do każdego portu.



MARTA
SKORCZYŃSKA
WIOLETTA SZUBA

ALBIONA LEE JMO
~ KAWELSKA

SONIA
RUSZKOWSKA

Dorota Łunek